Nr. 43 (1139). Warszawa, 12 (25) Października 1902 r. Rok XXII.

# PRAWDA

## TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

**Prenumerata „Prawdy"**
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

**W Warszawie:** miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

**Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

***Adres: Sadowa Nr. 14.***

**Redaktor** przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

**Przedpłatę przyjmują:** Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

**Sprzedaż pojedynczych numerów** po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

**Administracya otwarta codziennie**, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.



## POLITYKA.

### TRZYDNIOWA BITWA.

Nie mogło być inaczej: musiało pierwsze już posiedzenie francuskiej Izby deputowanych d. 14 b. m. wciągnąć w swój protokół wymarsz stronnictwa zachowawczego do boju z rządem, z ministrami o kongregacye, szkoły i inne instytucye kongregacyjne. W straży przedniej szedł doświadczony, stary, z boleścią narodziny rzeczypospolitej prawnej pamiętający, Boissy d'Anglas: zamknięcie kongregacyj i ich instytucyj było przeciwne samemu prawu przez republikanów ukutemu; sprzeczne też jest i z zasadą wolności, którą niby rządzi się rzeczpospolita. Poparł tę argumentacyę Aynard. W rozprawach dwu dni następnych osią obrotową było ukształtowanie się we Francyi kwestyi wolności, swobód, praw, wrzekomo gwałconych, a bezwarunkowo panować winnych, jako sprawy, nie humanitarno-kulturalnej lub prawnej, ale politycznej: kongregacye wraz ze swemi instytucyami i prawami grożą rzeczypospolitej, i dlatego trzeba je ograniczyć, odjąć im bezwzględną swobodę ruchów, aby zapobiedz niebezpieczeństwom, jakieby z tej swobody wyniknąć mogły dla państwa w wewnętrznem jego ukształtowaniu. Tezę tę postawili Jonnart i sam prezes gabinetu, Combes.

Nie pierwszy to raz tezę taką rząd francuski stawiał, ale nigdy jeszcze nie zajęła ona w Izbie tak rozległego miejsca w rozprawach, nigdy też republikanie z równą szczerością i ogniem nie wypowiedzieli prawdy, którą już dawno widzieć i czuć byli powinni. Zamiast ideowej, instynktowej lub nałogowej nienawiści, pomijającej najżywotniejszą dla tego, kto żyć pragnie, kwestyę życia, nareszcie rozum polityczny, konkretnie w danej dziedzinie zjawisk wyćwiczony, wystąpił z przekonaniem czysto-politycznem i dla celu czysto-politycznego. Pomiędzy życiem własnem a bujnym wzrostem i rozkwitem kościoła, jego instytucyj, jego duchowieństwa i wpływu na lud rzeczpospolita ma łatwy wybór: ratuje siebie. Nie pogrąża wprawdzie przez to kościoła, ale kłamałaby, gdyby twierdziła, że mu swobodnie rozrastać się pozwala i że demokratyczne hasło: wolność dla wszystkich, jest jej gwiazdą przewodnią w stosunkach wewnętrznych na całym ich obszarze i we wszelkich zakresach życia. Nie, kościołem, raczej działalnością duchowieństwa, muszą rządzić prawa wyjątkowe, jak wyjątkowem też jest jego stanowisko, wobec ludu zwłaszcza, na który nauki jego, złe czy dobre, głównie działają. Kościół czy duchowieństwo, nie jest skromną jakąś jednostką, atomem ożywionym ogromu społecznego; nie jest też prostem stowarzyszeniem, choćby największem, jak inne; nie jest wreszcie instytucyą ogólnie społeczną, ale na jednej ściśle kreślonej funkcyi poprzestającą. Kościół i duchowieństwo we Francyi są społeczeństwem w społeczeństwie, światem samym w sobie. Ramy wolności dla wszystkich dobre, nie wytrzymają rozprężliwości takiego ogromu: trzeba praw wyjątkowych dla wyjątkowej potęgi.

A nie jest ta potęga duchową, religijną, czy ideowo-uczuciową, za jaką się podaje. W jej założeniu przed wiekami była czystość, w jej istnieniu dalszem, i to bardzo prędko, z celami nadziemskimi złączyły się ziemskie. We Francyi nowożytnej nawet, która wynalazła księży zaprzysiężonych i konstytucyjnych, nigdy duchowieństwo nie było bez znaczenia politycznego, miało je sobie nawet narzucone przez same ustawy organiczne. Ogromny wpływ na lud czynił z księdza organ polityczny narodu przez instytucyę głosowania. Stronnictwo tak zwane klerykalne miało rdzeń z kościoła i jego duchowieństwa, a republikanizm dzisiejszy byłby idyotą, gdyby nie pamiętał wypadków zaledwie o pół wieku odległych, w których pomoc stronnictwa klerykalnego umożliwiła Napoleonowi Małemu zamach Drugiego Grudnia. Combes o tym przewrocie lat 1850—1 i roli w nim duchowieństwa pamiętał i z całą też szczerością zawołał: „Rzeczpospolita upadnie, jeżeli Izba okaże niemoc wobec kongregacyj." Izba na razie nie okazała niemocy, jak w roku 1850 (prawo Falloux) i znaczną większością 342 głosów przeciwko 225 z dziesięciu formuł przejścia do porządku dziennego uchwaliła wybraną przez rząd. Wypowiedziała w niej uznanie dla niego i postanowienie energicznego wykonania prawa o kongregacyach. Jeżeli wytrwa w tej uchwale, będzie miała zasługę przed historyą.

Podczas rozpraw Jules Roches wytoczył sprawę rokrocznie powracającą do Izby i rok w rok w niej umarzaną: oddzielenia kościoła od państwa. Zniknąłby wtedy budżet duchowieństwa i kościołów, ustał konkordat, ustąpiło poselstwo francuskie z Watykana. Duchowieństwo otrzymałoby rentę, jak we Włoszech, może nawet na dogodniejszych dla skarbu warunkach. Jako instytucya, czy suma instytucyj czysto-społecznych, pozapaństwowych, kościół byłby głównie utrzymywanym przez samo społeczeństwo, dopókiby pewne potrzeby jego idealne zaspakajał. Państwo zerwałoby nienaturalne, obłudne węzły, pozbyłoby się pewnych praw, ale uwolniłoby się też i od pewnych obowiązków uciążliwych.

Zerwanie obniżyłoby znaczenie polityczne kościoła. Odjęcie lub ograniczenie zdolności prawnej nauczania przeszłoby z dzisiejszych stosunków do nowych pod postacią specyalnego prawa. Francya zbliżyłaby się do stanu panującego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, najwłaściwszego dla wszelkiej rzeczypospolitej i wszelkiej demokracyi. Religia sama w sobie jest sprawą sumienia lub poezyą serca, bądź pojedynczo, bądź zbiorowo, społecznie wykonywaną: trzeba ją zostawić jednostkom i społeczeństwu; niech z niej korzystają jak mogą i chcą, niech sobie radzą z wydzielającemi ją instytucyami jak umieją. Umysły europejskie nie dojrzały jeszcze do tego jasnego widzenia rzeczy, jakie posiedli odrazu, nieskończenie religijniejsi od dzisiejszych katolików francuskich, sami twórcy konstytucyi amerykańskiej 1787—9 roku i jej pamiętnego dopełnienia o religii z d. 15 czerwca 1791 r.

## TYDZIEŃ POLITYCZNY.

D. 16 b. m., o tydzień wcześniej, niż zapowiadano, zebrała się wiedeńska Rada państwa — bez ugody z Węgrami, a z projektem ugody między Czechami a Niemcami czeskimi, z góry już odrzuconym. P. Körber, który po zbyt niemieckim Spens-Boodenie, ministrze sprawiedliwości, aby mu nie dać zbyt słowiańskiego następcy, sam administruje sprawiedliwością, niedługo chyba uszczęśliwiać ją będzie i wraz ze sterem gabinetu złoży ją w inne ręce. Odgraża się wprawdzie, że w razie jałowości posiedzeń do 15 listopada, rozwiąże zgromadzenie; ale pogróżki tej nikt się nie lęka. Już i Koło polskie, najcierpliwsze ze wszystkich, zaczyna myśleć o interpelacyach. Niepokojący stan Galicyi wschodniej ma być przedmiotem najważniejszej z nich i najbliższej. Polityka i socyalizm skuły tam swe ręce, aby własność ziemską dworską pozbawić pracy rąk, skazać na obumarcie i wywołać przewrót społeczny i polityczny. Podżegacze rusińscy układają już prawo o języku, za przykładem Czechów, i radykalniejsze odeń żądanie zupełnego podziału na wschód i zachód. Studenci uniwersytetu domagają się utrakwizmu, jeśli nie doskonałej odrębności.

D. 14 b. m. zebrały się Izby francuskie; poselska uchwaliła nagłość wniosku Basly'ego o emeryturę dla robotników, ale odmówiła nagłości Baudry d'Assonowi, który oskarżył rząd o przekroczenie prawa przy zamykaniu szkół (414 prz. 53). Budżet, wymagający 3 miliardów 575 mil., potrzebuje 207 mil., które musi mu dać Izba. Rząd wniósł już obostrzenie prawa o stowarzyszeniach i ich instytucyach, przeniósł sprawę na pole praw karnych. Reforma sądownictwa wojskowego zaczyna się już urzeczywistniać. Tylko czyny przeciw karności wojskowej będą podlegały sądom oficerskim; wszystkie inne rozstrzygać mają sądy zwyczajne. Umyślna komisya kasacyjna będzie zniesiona; apelacye od sądów wojskowych iść będą do sądu kasacyjnego. Izba w zasadzie odrzuciła jedyny porządek prawowity w demokracyi i w rzeczypospolitej: rozdział kościoła od państwa, wniesiony przez Roche'a. Rozprawy nad interpelacyą d'Assona d. 18 b. m. zakończyły się uchwaleniem zaufania dla rządu (342 — 235). Biskupi wnieśli zbiorowy protest.

Powstanie w Macedonii przybiera rozmiary poważne w dolinie Strumy. Turcy stoczyli tam już walki zacięte, a po walkach niewątpliwie brali odwet krwawy z ludności. Oddziałami, które wkroczyły do Bulgaryi, dowodzi nawet dwóch generałów, dwóch pułkowników. Na czele stoi jakiś Iwanczew. Wszystko jest robotą komitetu macedońskiego; wszystko rozogniło się od uroczystości szypkowskich. Porta wmawia nieznaczność ruchu, 1,000 powstańców; jest ich niezawodnie kilka tysięcy. Legalna część komitetu macedońskiego domaga się reform traktatem berlińskim zapewnionych, na podstawie tu już podanej (nr. 41). Mocarstwa mają wręczyć noty, o ile można jednobrzmiące, z propozycyami, które opór zamieni w żądania. W każdym razie sprawa wschodnia znowu kiełkuje i w inspektach dyplomacyi i na żywych polach bałkańskich.

Generałowie boerscy nareszcie przyjechali d. 16 b. m. do Berlina, ale nie do ces. Wilhelma. Przyjmowała ich sama tylko inteligencya, sam lud, którego było kilkadziesiąt tysięcy. Władze demonstracyjnie się usunęły. Prócz mów, zaznaczających współczucie dla Boerów, a silniej jeszcze zawiść ku potędze angielskiej, i 100,000 marek wsparcia, pozostały tylko z tych odwiedzin tłumne zbiegowiska uliczne — i niechęć ces. Wilhelma, wysadzonego z siodła. Z pobytu generałów w Paryżu Anglicy są mocno niezadowoleni.

Sejm cesarstwa niemieckiego d. 16 b. m. rozpoczął drugie czytanie taryfy. Bülow zapowiedział, że żadnych dalszych ustępstw rada związkowa nie zrobi agraryuszom.

## ŻYCIE SPOŁECZNE.

## RACHUNKI SPOŁECZNE.

Monografie gmin. — „Żłobki" na prowincyi. — Karciarstwo i zebrania towarzyskie. — Pożary po wsiach i piotrkowskie Towarzystwo rolnicze. — Hakatyzm w Łodzi.

Zetknięcie się bliższe ze wsią i jej potrzebami wysuwa dziś nieodzownie jeden brak ważny, utrudniający często próby poważniejszej pracy społecznej. Chcąc pracować dla przyszłości, dążyć do pożądanych zmian i reform, trzeba przedewszystkiem oryentować się dokładnie w położeniu obecnem, znać dobrze potrzeby i braki teraźniejszości, posiadać, słowem, wyczerpującą odpowiedź w cyfrach i danych statystycznych na różne nasuwające się pytania. Pod tym względem właśnie kraj nasz pozostawia jeszcze bardzo wiele do życzenia, a braki te dają się zwłaszcza uczuć ziemianom, powołanym obecnie do uczestnictwa w gubernialnych komitetach rolniczych. Projekty ich i żądania, nie mogąc się oprzeć na poważnym materyale statystycznym, z konieczności nieraz rażą pewną gołosłownością i są jakby zawieszone w powietrzu.

Wobec trudności zebrania danych statystycznych, obrazujących wszechstronnie położenie ekonomiczne, życie społeczne i umysłowe całego Królestwa, p. St. Dzierzbicki wystąpił w jednym z ostatnich numerów *Gazety Rolniczej* z projektem, który, w razie pomyślnego urzeczywistnienia, może mieć istotnie znaczenie doniosłe. Idzie mu ni mniej ni więcej, tylko o zdobycie metodą Le-Play'a szeregu monografij, dających możliwie zupełny obraz stosunków, panujących w pewnej liczbie gmin lub nawet oddzielnych wsi w Królestwie, co pozwoliłoby już wyprowadzić wnioski konkretne co do potrzeb pojedyńczych gubernij lub nawet całego kraju. Zbadanie wszechstronne jednej lub paru gmin w każdej gubernii, przedstawienie działalności kas gminnych, stosunków ekonomiczno-finansowych wsi i osad, w skład gminy wchodzących, stanu gospodarstw i ich potrzeb, rzuciłoby, zdaniem p. Dzierzbickie-

---

FELIKS BRODOWSKI.

# LIOTE.

Nowela.

*Z Anglii.*

Hwashano, przezacny druhu i nauczycielu (dzięki niech będą opiekuńczym duchom, iż nauki twoje puszczałem zawsze mimo uszu), z za lądu Azyi i Europy ślę pozdrowienia tobie, a zarazem przypomnienie obietnicy. Gdzież jest owo szczegółowe sprawozdanie o postępkach wiadomych ci osób, zwłaszcza nędznika Matsumy. Niema sprawozdania, niema listu, niema nic! Miły mój Hwashano, nigdy nie powątpiewałem, iż jesteś stekiem rozmaitych wad i złych skłonności, tem naganniejszych, że nawiedzających cię w tak późnym wieku, pomimo to sądziłem... miałem cię za słownego, boleję więc nad nowem rozczarowaniem, jakie mi zgotowałeś.

Trzy miesiące, i ani słowa od Liote, ani o Liote.

Gdy pomyślę o przestrzeni, jaka legła między mną i prześliczną córką czcigodnego Tayotomi, gdy łakomy na urodę panieńską Matsuma bawi tak blizko niej, czuję, Hwashano, czuję wyraźnie świder ostry, bezlitośnie zimny, wkręcający mi się w serce. Zdaje mi się, że widzę pożądliwe spojrzenia Matsumy, któremi ogarnia rumianą twarzyczkę i inne wdzięki Liote; widzę, jak trzęsąc pękatym workiem, ten wściekły, stary pies kusi ją — uroczą, niewinną, kapryśną dzieweczkę moją.

O Liote, ona ma w sobie coś z kwiatu, motyla, cukierka, papugi i mocnego wina. Taka mieszanina — powiesz, to równoważnik niestałości. Zapewne. Pamiętam jednak pewien cudny ranek, tak promienny, jak oczy mojej Liote, tak wilgotny od rosy, jak jej usteczka, tak biały od mgieł ponocnych, jak jej liczko... Rozmawialiśmy o trudnościach, piętrzących się na drodze do naszego połączenia. Gdy Liote odjęła główkę od mego ramienia, spojrzałem w jej oczy i spostrzegłem w nich wyraźnie błysk niezwykły, błysk zaciętości nieugiętej — i pomyślałem sobie: otóż jest w niej coś i ze stali. Czasem znów uważałem, iż ptaszęca figlarność jej spojrzenia znika w cieniu jakiejś zadumy serdecznej. Owóż, te błyski niepochwytne i cienie przelotne, to wszystko, na czem, opieram nadzieję, że ona mnie nie zdradzi...

Słyszę już, jak, mówiąc: „wątła to podstawa" — śmiejesz się ze mnie, Hwashano, stary krokodylu, coś upasł się na sercach niewieścich! Ty—gdy zdradziła cię jedna—trzem bez namysłu kradłeś cnotę; kochanki miewałeś na codzień, od święta i na zapas, jak konfitury w spiżarni — i twierdzisz, że takie postępowanie to jedyny sposób zrównoważenia honoru mężczyzny ze czcią kobiety.

Pozwolę sobie być innego zdania.

Pod jednym względem tylko nie myślę się w życiu rozczulać: pragnę zostać jak najprędzej bogatym. Co zrobię wtedy? — pytasz. Kupię powóz, starego osła i starego Matsumę (przecież i on byłby do nabycia za miliony), zaprzęgnę ich razem do powozu, a Liote posadzę obok siebie z tęgim biczem w ręku. Oh, jakże się wezmę wtedy pod boki i jak serdecznie będziem się śmieli z moją miłą kochanką.

* * *

Mam list od Liote; nadszedł dzisiaj.

Niech przyjazne bóstwa roztoczą opiekę nad jasnowłosą główką mojej narzeczonej! Niech słońce ją budzi codzień zrana snopem szczerozłotych promieni; niech kwiaty zakwitną pod jej drobnemi stopkami, a pta-

go, promień światła na wiele spraw spornych, a zebranie szeregu takich monografii ze wszystkich gubernij kraju dostarczyłoby wielce wartościowego materyału dla oceny naszych stosunków i potrzeb wiejskich. Przekonany słusznie o pożyteczności podobnej pracy, projektodawca nakreślił zarazem szkic kwestyonaryusza, zawierający szereg pytań, które przedewszystkiem w monografiach takich uwzględnione być winny. Dotyczą one przestrzeni i zaludnienia gminy, własności ziemskiej, budżetu z uwzględnieniem podatków skarbowych i gminnych, zakładów przemysłowych, środków komunikacyi, sprawy podwód, szkół elementarnych, wychodźtwa na zarobek, stanu materyalnego właścicieli-włościan i bezrolnych, liczby spraw cywilnych i karnych itp. Szczególny nacisk kładzie autor na gminne instytucye kredytowe, poświęcając kilka punktów kwestyonaryusza sprawie gminnych kas pożyczkowych.

Przypuszczamy z autorem projektu, że wśród młodszych zwłaszcza członków towarzystw rolniczych znajdzie się sporo ludzi, chętnych do pracy społecznej, i że zamiar jego przy wspólnym wysiłku takich jednostek da się urzeczywistnić z niemałym pożytkiem ogólnym. Mogą przytem, rzecz prosta, wyjść na jaw rzeczy ciekawe i zarazem nader smutne. Znamy sami wsie w zamożniejszej części gubernii Radomskiej, oddalone o kilkanaście wiorst od najbliższej szkółki ludowej, wsie w których liczba analfabetów wynosi 95% lub nawet więcej, co jednak nie przeszkadza społeczeństwu naszemu uważać się i uchodzić za kulturalne... Lecz właśnie wykrycie i ujawnienie braku stanowi krok pierwszy do jego usunięcia, i dlatego najsmutniejsze nawet dane, odtwarzające wiernie obraz stosunków panujących, lepsze są stokroć od gnuśnej apatyi i nieświadomości. Tak więc, gdy hasło rzucone, oczekiwać należy wyników rozumnej inicyatywy i — miejmy nadzieję — pożytecznej pracy zbiorowej.

Z przeważnym również, choć znacznie skromniejszym projektem, wystąpiła na szpaltach *Ech Płockich* i *Łomżyńskich* p. Zdzisławowa Jaroszewska. Idzie jej mianowicie o stworzenie instytucyi tak zwanych „żłobków,“ które ochroniłyby z pewnością od śmierci z głodu „na garnuszku“ lub, co gorsza, z rąk matek, pragnących ukryć swą „hańbę,“ setki dzieci nieślubnych, z których część znaczna stanowi dziś siłę, marnowaną bezmyślnie przez społeczeństwo. Popierając swój projekt ofiarą sturublową na rzecz projektowanej instytucyi, autorka oblicza kost założenia jednego takiego żłobka (dom z czterech izb, umeblowanie i niezbędne naczynia kuchenne) na rb. 1,000. Utrzymanie roczne choćby 15 dzieci wraz z pensyą opiekunki i dwóch sług wyniosłoby również rubli tysiąc, więc tanim stosunkowo kosztem możnaby zachować dla społeczeństwa niejedną istotę ludzką, skazaną na śmierć przedwczesną. Żłobki te dla niemowląt, ochrony dla dzieci nieco starszych i tym podobne urządzenia filantropijne są, naturalnie, plasterkami tylko na palące potrzeby społeczne, niemogącymi usunąć istoty i przyczyn złego. Gdy jednak to ostatnie jest sprawą dalszej przyszłości, związaną ściśle ze wzrostem świadomości społecznej ogółu, nawet takie niewinne plasterki są w pewnych razach pożądane i pożyteczne, jeśli za ich sprawą od czasu do czasu udaje się ocalić najcenniejszy skarb, jakim jest niewątpliwie na ziemi młode ludzkie istnienie. Więc też szlachetnemu projektowi p. Jaroszewskiej życzyć można szczerze powodzenia. Gdyby on znalazł poparcie wśród inteligencyi prowincyonalnej, świadczyłoby to wymownie o wzroście wśród niej poczucia obowiązków społecznych, o budzeniu się i u nas sumienia zbiorowego.

Doskonale prowadzony organ gubernii płockiej i łomżyńskiej poruszał w ostatnich czasach zarówno w artykułach redakcyjnych, jak w listach, nadsyłanych przez czytelników, niejedną sprawę poważną. Możnaby więc przypuszczać, że i inteligencya miejscowa wyróżnia się korzystnie od mieszkańców innych miast prowincyonalnych, że mogłaby poniekąd uchodzić za piękny wzór do naśladowania. To też z pewnem zdziwieniem czytaliśmy artykuł p. G. w nr. 76 *Ech*, poświęcony zebraniom towarzyskim na prowincyi i narzekający na ich jałowość i bezużyteczność. Pamiętamy przed laty dziesięciu czy dwunastu artykuły w *Gazecie Radomskiej* pod wymownym tytułem „Gęganie,“ gdzie podnoszono przeciw prowincyonalnym zebraniom towarzyskim zarzuty, podobne do tych, z którymi dziś występuje p. G. Czyżby od tego czasu wszystko pozostało po dawnemu? Sądząc ze wzmiankowanego artykułu, zmiany są istotnie niewielkie. „Dom, utrzymujący stosunki ze znajomymi i szanujący się, czuje się w obowiązku raz, dwa razy do roku zebrać w swem mieszkaniu wszystkich znajomych. Dalszy ciąg jest wszystkim wiadomy: podział na salę dam i gabinet mężczyzn. W salonie pierwszym damy nudzą się na kanapach, w gabinecie męzkim panowie nie nudzą się przy kartach. Wystawna kolacya łączy na pewien czas towarzystwo, a czasem kawa i likier znowu je rozłącza.“ Za główną przeszkodę do rozwijania się stosunków towarzyskich w lepszem znaczeniu tego słowa autor uważa rozwijające się wciąż zamiłowanie do gry w karty, twierdząc nie bez słuszności, że gdyby dziesiątą część myśli i czasu, marnowanego przy zielonych stolikach, zużytkować na sprawy pożyteczne, postęp w naszych stosunkach byłby widoczny i poważniejszy. Od pokolenia starszego autor nie spodziewa się już wiele. „Niechaj dziadowie i ojcowie grają w dalszym ciągu, kiedy ich nic od kart odciągnąć nie może, nawet widmo tej nędzy społeczno-moralnej, jaka się zdala ukazuje dla tych, którzy wlepiają wzrok w przyszłość. Ale my, którzy chcemy lepszych stosunków i lepszych warunków życia, powinniśmy zacząć reformę... Podobno pewien hazard w życiu jest koniecznie potrzebny, więc umiejmy wyszukać takie hazardy, ale o charakterze nie tak deprawującym, jak karty. Reformę trzeba zacząć od młodszych z pominięciem starszych, którzy tylko wypadkowo mogą nawrócić się do nas.“ W dalszym ciągu autor nawołuje jeszcze do nadania zebraniom towarzyskim pewnej cechy szczerej zażyłości i życzliwości wzajemnej, wyrastającej najczęściej na podścielisku umiłowania społecznego. Pod tym względem, istotnie, zmiana byłaby pożądaną, i to nietylko w miastach prowincyonalnych, sądzimy jednak, że dałaby się ona urzeczywistnić jedynie w drodze zastąpienia tłumnych, lecz niczem niezwiązanych ściślej zebrań i rautów ceremonialnych przez łączenie się szczupłych kółek dobrych znajomych i przyjaciół, ogrzanych ciepłem wspólnych uczuć, podnioślejszych pragnień i dążeń.

„Paląca“ prawdziwie sprawa pożarów po wsiach i miasteczkach nie schodzi ze szpalt prasy prowincyonalnej. Niedawno *Gazeta Radomska* poświęciła jej dłuższą rozprawkę, świeżo znów poruszył ją w krótkim artykuliku *Tydzień* piotrkowski. I na tem polu, jak się zdaje, wszystko pozostało po dawnemu. Pan M. P. narzeka w tem piśmie, jak jego poprzednicy przed laty, na budowanie osad włościańskich zbyt blizko jedna od drugiej, na zupełną obojętność włościan przy ogniu, na brak niezbędnych narzędzi do ratowania, a nawet zwykłych konewek do wody, które sąsiedzi chowają czemprędzej, aby im się nie popsuły przy gaszeniu pożaru. Stara, lecz prawdziwa hi-

---

szęta niech nauczą się dla niej najpiękniejszych śpiewów!

Ty mnie już nie zrozumiesz, opasły Hwashano, dokładna podobizno hipopotama... Albowiem powiedziane jest: komu rośnie wielki brzuch, temu serce chudnie — a któż w Hakadate ma brzuch większy od twego!

Czy wiesz, co uczyniła Liote? Na drugi dzień po moim odjeździe (przewidziałem to!) zjawia się u jej ojca wstrętny Matsuma, przybrany w świąteczną szatę. Gdy Liote, grzecznością jedynie powodowana, ofiarowała mu filiżankę herbaty, on wyschłą swą łapą zuchwale dotknął jej podbródka i szepnął (a śliny mu z ust leciały): „Moje pocałunki, o słodka Liote, mają smak złota, dobrego złota, kiedy całusy takiego smarkacza, jak syn Yakonina (to o mnie mowa!) są jedynie cmokaniem wiecznie głodnego urwipołcia. Więc namyśl się, malutka...“

Nie namyślała się długo. „Przedewszystkiem — pisze ona — wylałam mu na łysinę prawie wrzącą herbatę, potem tak niezgrabnie obeszłam się z tacką, iż wielbiciel mój postradał ząb, zdaje się — ostatni; wreszcie chwyciłam ciężką, bronzową urnę... Wtedy staruszek umknął. Jak się też śmiałam — śmiałam — śmiałam...“

Ile sprytu i finezyi w tej młodziuchnej główce, bo posłuchaj tylko, co pisze dalej: „Lecz ciebie, mój serdeczny „smarkaczu,“ proszę na wszystko, byś nie martwił się myślą, że Liote, gdy ją poślubisz, będzie potem i z tobą wojowała tackami lub poparzy cię gotowaną wodą, jak to czynią czasem niedobre żony. O nie, ja na ciebie, mój słodziutki, mam mały, najmniejszy, cały atłasowy i mięki... pantofelek!“

Tyle Liote, a teraz czekam na wieści od ciebie, Hwashano; przemóż swe lenistwo i napisz obszernie, a cofnę wtedy niektóre z użytych tu wyrażeń, oraz przyznam, iż jesteś w gruncie daleko lepszy, niż się wydajesz, gdy umyślnie kryjesz swą twarz pod maską szydercy i cynika.

---

*Hakodate* (Japonia).

Mito, młodziencze, oto jest moja odpowiedź: po pierwsze nie przyznawaj mi żadnych zalet, to bowiem, co ty mianem tem nazwiesz, we mnie obudzi ckliwość i nudę; po drugie nie nazywaj mnie swym nauczycielem, bo jeśli chciałem być dobrym siewcą trzeźwej i praktycznej nauki życia, ty okazałeś się kamieniem, że nie zaczerpnę porównania ze świata zwierzęcego — i po trzecie, wiedz, że jeśli ulegam nagannej skłonności do ciebie i biorę za pióro, to tylko z największą niechęcią, bo wdawać się w korespondencyę ze stronami zakochanemi — jest to wtórzyć miauczeniu kotów na dachu.

Skoro jednak życzliwość moja, niedostatecznie twoją nieprawością stłumiona, przezwyciężyła wstręt, jaki odczuwam do pisania, to nie sądź, abym na wstępie mógł powiedzieć ci co innego nad to, że — opamiętaj się, opamiętaj, biedny, trzykroć litości godny młodzieńcze! Wszak na świecie nie zabrakło zimnej wody — zanurz się w niej i nie wychodź, póki cię szał nie ominie.

Czy wiesz, mój mały, jakie były skutki, gdy łakotniś pewien, zoczywszy dopiekający się w piecu przysmak, gołą uchwycił go ręką? Oczywiście, poparzył się fatalnie i przysmaku nie pokosztował, uronił go bowiem na ziemię. A stary, mądry pies, wyczekawszy, aż łakotka ostygła, pożarł ją, i poszło mu to na zdrowie.

Gdy młodzieniec ubogi kocha ładną dziewczynę, która, jak dyament, wymaga oszlifowania i kosztownej oprawy, jest ona dla niego takim gorącym przysmakiem. Głupi wyciąga rękę i — parzy się.

Co do mnie, to w tych wypadkach umiałem być rozsądnym. Dowodem, iż rok rocznie w dniu mych imienin około stu męża-

storya, mogąca nasunąć wiele smutnych myśli na temat niezaradności naszej i niskiego stanu kultury. W części zresztą rozprasza je zaraz w następnym numerze *Tygodnia* dyrektor Towarzystwa rolniczego gub. Piotrkowskiej, p. Wł. Bogusławski, który w odpowiedzi na te utyskiwania zawiadamia, że Towarzystwo ma stale w swych składach w Rawie, Piotrkowie, Noworadomsku i Częstochowie znaczną ilość dogodnych sikawek nowego typu pod nazwą „Wieśniaczka.“ Sikawkę tę (wyrobu krajowego), wyrzucającą na wysokość 65 stóp 7 wiader wody na minutę, przy obsłudze pięciu ludzi, z wężami ssącym i wylotowym odpowiedniej długości, ze wszystkimi przyborami, Stowarzyszenie piotrkowskie sprzedaje po 90 rb., a chcąc ułatwić nabywanie tych niezbędnych narzędzi gromadom wiejskim, oddawać je będzie na pięciorublowe rozpłaty miesięczne, uważając za dostateczną gwarancyę solidarne poręczenie kilku włościan wsi, nabywającej sikawkę. Przy każdym oddziale rolniczym Towarzystwa mają być nadto urządzone wystawy koniecznych narzędzi ogniowych, które tanim kosztem mogą zrobić wiejski kowal i kołodziej. P. Bogusławski rzuca przytem w paru słowach projekt improwizowanych straży ogniowych, które bez zachodu niemal mogłyby powstać po wsiach. „Sądzę — mówi on — że jeśli włościanie każdej wsi oddadzą sikawkę jednemu, najroztropniejszemu, ten zaś dobierze czterech stale zobowiązanych stanąć przy niej podczas pożaru; dalej jeśli rozdadzą po jednej sztuce odpowiedniego narzędzia ogniowego reszcie włościan — wtedy, w razie pożaru, bez zamieszania, szukania, biegania, każdy stanie ochoczo do ognia z tem, co mu gromada powierzyła.“

Na zakończenie idyliczny obrazek z bruku łódzkiego. Do przemysłowca miejscowego, niejakiego p. K. Mogka, wchodzi z interesem pewna mieszkanka Łodzi i zwraca się do niego w języku polskim. Pan K. Mogk krzyczy rozkazującym tonem, aby interesantka nie ważyła się odzywać w jego domu po polsku, gdyż on nie chce tego słyszeć. Na propozycyę, aby on sam raczył mówić po niemiecku, a tylko wysłuchał przedstawienia interesu w języku polskim, gdyż mówienie po niemiecku sprawia trudność interlokutorce, następuje życzliwa rada: „To trzeba brać sobie tłomacza, a jak inaczej nie można — to proszę!“ Tu naturalnie wskazane zostały drwi zuchwałej jednostce, która w niemieckiej Łodzi ośmieliła się mówić po polsku. Tyle *Goniec Łódzki*, z którego tę wiadomość czerpiemy. Ciekawa rzecz, czy p. K. Mogk traktuje w podobny sposób i tych Polaków, do których on sam ma interes i czy zawsze — będzie równie życzliwie usposobiony dla języka polskiego.

*Święcic.*

# LISTY GALICYJSKIE.

Jeszcze o Śląsku austryackim i obojętności prasy galicyjskiej. — Śląsk Cieszyński, jako podstawa operacyjna. — Rzut oka w przeszłość i stan obecny. — Walka z germanizacyą i czechizacyą. — Stronnictwo radykalne i wybory.

Sprawami Śląska austryackiego Galicya interesuje się bardzo mało. Od czasu do czasu tylko, kiedy skandaliczna sprawa gimnazyum polskiego w Cieszynie poczyna zbyt natrętnie przypominać się sumieniu narodowemu, w prasie galicyjskiej i na zgromadzeniach publicznych mówi się trochę więcej o Cieszyńskiem. Gazety opozycyjne wykazują, jak nikczemną jest polityka Koła polskiego względem słusznych domagań się Polaków ze Śląska austryackiego, a zgromadzenia publiczne uchwalają siarczyste rezolucye, potępiające tę politykę i wkładające na Koło obowiązek jak najprędszego uzyskania przejęcia na koszt państwa jedynego gimnazyum polskiego na Śląsku. Na czas jakiś sprawa ta staje się aktualną, ale wkrótce zapał przemija, ludzie zapominają o siarczystych rezolucyach i protestach, z których Koło polskie nic a nic sobie nie robi, ponieważ wie doskonale, że ci, którzy je zwykle układają, nie posiadają prawa wyborczego; co do rzeczywistych zaś wyborców, to oni przecież nie odmówią swych głosów dla jakiejś tam drobnej sprawy gimnazyum kresowego. Dopiero nowa wiadomość, alarmująca o blizkim upadku gimnazyum cieszyńskiego z braku środków, elektryzuje na czas jakiś galicyjską opinię publiczną, ale po upływie kilku tygodni o sprawach śląskich w prasie galicyjskiej znowu głucho.

Obecnie np. na Śląsku odbywają się przygotowania do zbliżających się wyborów sejmowych, wre walka między obozami niemieckim, czeskim i polskim, odbywa się ciekawa ewolucya w obozie polskim, a jednak napróżno byśmy szukali w prasie galicyjskiej stałych wiadomości o tem wszystkiem. Poprostu widać, że sprawy śląskie zupełnie jej nie obchodzą.

A tymczasem rozwój sprawy polskiej na Śląsku austryackim ważny jest bardzo chociażby ze względu na Górny Śląsk pruski. W miarę wzrostu świadomości narodowo-społecznej wśród ludu polskiego w Cieszyńskiem, w miarę polszczenia się tej prowincyi pod względem politycznym, musi się tam stopniowo wytwarzać ognisko, oddziaływające i na Śląsk pruski i to głównie na najbardziej zacofane jego okręgi. Praca na Górnym Śląsku staje się coraz trudniejszą. Stowarzyszenia polskie są tam krępowane nadzwyczajnie w swych czynnościach, prasa polska wystawiona na systematyczne prześladowania, wobec czego nie byłoby wcale dziwnem, gdyby w najbliższej przyszłości poczęto używać terytoryum Śląska Cieszyńskiego za podstawę operacyjną w pracy na Górnym Śląsku. Już i teraz się zdarza, że Górnoślązacy załatwiają niektóre swe sprawy na Śląsku austryackim lub w Galicyi. Górnośląskie stowarzyszenia gimnastyczne poczęły w ostatnich czasach coraz częściej urządzać swe „zloty“ na terytoryum, należącem do Austryi; tam również odbywają się zjazdy organizacyj robotniczych z Górnego Śląska, na zgromadzeniach publicznych w Oświęcimiu i Bielsku zjawiają się w wielkiej liczbie Górnoślązacy i t. d. Wobec tego wszystkiego rozwój polityczno-kulturalny Górnego Śląska nabiera wielkiego znaczenia, i wszystko, co się tam dzieje, musi być podwójnie ciekawe dla szerszego ogółu.

Odrębność historyczna Śląska Cieszyńskiego wraz z odrębnością jego rozwoju społeczno-ekonomicznego wytworzyła tam stosunki wcale do galicyjskich niepodobne. Kiedy w Galicyi warstwą bezwzględnie panującą jest szlachta, posiadająca majątki ziemskie, to na Śląsku Cieszyńskim rolę tę objęła burżuazya niemiecka. W ciągu wieków zniemczyło się zupełnie mieszczaństwo polskie wraz z inteligencyą, polskim pozostał lud — chłopi i robotnicy. Ale polskim był on w olbrzymiej większości do niedawna tylko etnograficznie — bez poczucia łączności z resztą narodu. Dopiero w połowie ubiegłego stulecia rozpoczyna się bardzo powolne przekształcanie tego materyału etnograficznego na świadomą siłę polityczną polską, pod wpływem szczupłej garstki inteligencyi, przeważnie duchownej — tak protestanckiej, jak katolickiej. Inteligencya miejscowa, zasilana przybywającymi z Galicyi urzędnikami, notaryu-

---

tek przysyła mi całe sterty upominków na znak tkliwej, choć dziś już zupełnie bezinteresownej pamięci, i w tym samym dniu około stu mężów życzy mi wszystkich nieszczęść na wieczerzę. Tak, tak, umiałem wyczekać, aż przysmak da się wziąć bez poparzenia ręki, a koszty szlifowania i oprawy dyamentów przelewałem zawsze na osoby trzecie.

To, co powiedziałem, jest mądre, przewidujące i przekonywające i dlatego nie wątpię, iż wstęp ten opuścisz, bo jesteś lekkomyślnym, młodzieńcze, i będziesz wolał, gdy zacznę mówić o Liote. Lecz mniejsza o to. Posłuchaj.

Byłem w domu Tayotomi, a na kwadrans przede mną przybył tam już Matsuma. Nie wydawał się bynajmniej zrażony niegrzecznym postępkiem Liote, o którym powiadomiła cię ona w liście swoim. Czy dodała jednak, że wybicie zęba i wylanie wrzątku na łysinę zakochanego staruszka nastąpiło podczas nieobecności samego Tayotomi, a więc w chwili, kiedy mała mogła sobie poczynać samodzielnie, co biedaczce rzadko się zdarza.

Teraz siedziała, jak trusia.

Cały pokój dosłownie zapchany był podarkami, które kilka służebnych Matsumy naznosiło przed chwilą.

Stary Tayotomi, mający bzika na punkcie zbierania rzadkich owadów, przypatrywał się z idyotyczną rozkoszą ofiarowanej mu kolekcyi jakiegoś potwornego robactwa. Dwie młode siostrzyczki Liote zabawiały się rozwijaniem zwojów prześlicznych materyj jedwabnych, a trzej jej braciszkowie najmniejsi mieli usteczka wyładowane najwykwintniejszymi owocami. Zaiste, rodzina ta nie jest przesycona dostatkami; młode zaś latorośle często snać bywają niedokarmione.

Na stoliczku obok Liote leżała rzucona przepyszna makata, tak droga, że wartość jej — wybacz szczerość moją — przewyższa z pewnością dwa razy cały majątek, jaki czcigodny twój ojciec kiedyś ci w spadku zostawi (zacne ojczysko twoje, znakomity pedagog! — tak gorliwie próżne łby ludzkie nabijał mądrością, że nigdy się nie obejrzał na próżnię własnej kieszeni).

Liote wydawała się zamyśloną. Czy był to „cień serdecznej zadumy,“ która jest podstawą twojej wiary w jej stałość — nie wiem; zauważyłem, iż kilkakrotnie dotykała paluszkami makaty, cofając je szybko, jakby ją parzyła, ale paluszki znów tam wracały i ślizgały się po barwnych desebiach materyi.

Tayotomi wyciągnął ze szklanego pudełka olbrzymiego karalucha (tak sądzę przynajmniej), usadowił go na dłoni i pieścił okiem.

— Zachwycający okaz — rzekł — poszukiwałem podobnego całe lat pięć, lecz, niestety, w naszych stronach niema ich wcale; trzebaby się udać na wybrzeża jeziora Biwaa.

Jeszcze chwila, i biedaczysko wygadałby się, że podobne przejażdżki są dla niego za kosztowne, ale na skutek spojrzenia córki snać ugryzł się w język. Mimo to Matsuma w lot wyzyskał sposobność.

— Rozkoszą dla mnie będzie, gdy czcigodny Tayotomi zechce dla swych wycieczek skorzystać z mego statku spacerowego: jest on wygodnie urządzony. Co do mnie, chętniebym towarzyszył naszemu uczonemu, gdyby np. chciał odbyć przejażdżkę do lesistych wysepek, słynących z najrzadszych owadów.

Rozpoczęła się rozmowa o karaluchach i tym podobnych rzadkościach, co wywołało uśmiech na ustach Liote i wyznanie, że lubi ptaszki, a niecierpi wszystkiego, co pełza i kryje się w norach.

Potem Matsuma zaprosił całą rodzinę na następny dzień do zwiedzenia „domeczku,“ jaki wystawił sobie za miastem. Nie wypadało mu pominąć mnie, ja zaś tem skwa-

szami, adwokatami, lekarzami i technikami, rozpoczęła walkę z przeważającą siłą niemiecką. Wszczęta pod hasłem równouprawnienia żywiołu polskiego z niemieckim, była ona w gruncie rzeczy walką o otrzymanie pewnej liczby posad dla tej młodej inteligencyi polskiej; taki charakter zresztą miały w pierwszem stadyum rozwoju wszelkie budzące się ruchy narodowościowe — w Czechach, na Rusi itd.

Chcąc otrzymać jakieś ustępstwa od panujących na Śląsku Niemców, inteligencya polska musiała się oprzeć na pewnej warstwie społecznej, posiadającej siłę polityczną. Najodpowiedniejszą była do tego klasa bogatych chłopów polskich, t. zw. „siedlaków,“ posiadających po 60—100 morgów gruntu. Była to warstwa z jednej strony najbardziej oświecona, z drugiej zaś posiadająca największe znaczenie polityczne, którego nie miał ani chłop ubogi, ani tembardziej robotnik. To też dwie te ostatnie warstwy, stanowiące olbrzymią większość ludu śląskiego, były zaniedbane przez ową inteligencyę, opierającą się na siedlakach, czyli przez t. zw. partyę narodowców. Narodowcy zakładali różne stowarzyszenia i organizacye, przeważnie za pieniądze, zebrane po za granicami Cieszyńskiego, prowadzili bardzo mało skuteczną walkę narodową z Niemcami i wyznaniową we własnym obozie, dzieląc się na ewangelików i katolików, a lud tymczasem po dawnemu nie posiadał jasnej świadomości narodowej, wskutek czego niemczył się i — jeszcze bardziej — czeszczył. Zwłaszcza czeszczenie się robotników i drobnomieszczaństwa przybierało wielkie rozmiary. Należy tutaj podnieść, że wobec czeszczenia się ludu narodowcy cieszyńscy byli jak najzupełniej obojętni, pochłonięci jedynie walką z germanizmem.

Tymczasem Cieszyńskie stawało się krajem coraz bardziej przemysłowym. Rozwój przemysłu górniczego i hutniczego na Śląsku i w sąsiedniej Morawii wymagał coraz większej liczby rąk roboczych— i tych poczęła w wielkiej liczbie dostarczać Galicya. Tysiące i dziesiątki tysięcy bezrolnych chłopów galicyjskich zjeżdża na Śląsk i zapełnia tamtejsze kopalnie i huty. Ludność robotnicza stawała się coraz poważniejszym czynnikiem życia krajowego, ale nie było nikogo, ktoby starał się uczynić z niej siłę świadomą. To też czechizacya nigdzie nie postępowała tak szybko, jak wśród tych ciemnych chłopów galicyjskich, przybywających na Śląsk i Morawy. Po kilku latach pobytu w Witkowicach lub Ostrawie taki Mazur z pod Sącza lub Tarnowa poczynał uważać się za Czecha, żądać szkoły czeskiej, głosować za kandydatami czeskimi itd. I nic w tem dziwnego. Z domu nie przyniósł świadomości narodowej, a tu, na Śląsku, zetknął się z jednej strony z zajadłą agitacyą narodowców czeskich, a z drugiej z wpływami czeskiego stronnictwa robotniczego. To ostatnie organizowało robotników, zwoływało zgromadzenia ludowe, szerzyło mnóstwo wydawnictw w języku czeskim i — obok tego wszystkiego — pomagało robotnikom w walce ekonomicznej.

Z biegiem czasu, kiedy napływ robotników polskich stawał się coraz znaczniejszy, kiedy robotnicy czescy musieli się pod parciem ze wschodu wynosić na północ Czech lub do Wiednia, nie mogąc wytrzymywać konkurencyi z mniej wymagającymi Polakami, na Śląsku począł się dawać odczuwać wpływ Krakowa. Poczynają się tam zjawiać p. Daszyński, dr. Leser, p. Reger, zwołują polskie zgromadzenia publiczne, rozpowszechniają wydawnictwa polskie i od tego czasu — mniej więcej od r. 1893 — zaniedbany żywioł robotniczy przestaje być materyałem biernym. P. Tadeusz Reger osiada na Śląsku i rozwija nadzwyczaj energiczną działalność wśród robotników polskich. Można stanowczo twierdzić, że kilkoletnia jego praca przyczyniła się w daleko większym stopniu do spolszczenia Cieszyńskiego, niż cały kilkodziesięcioletni okres poprzedni. Zwłaszcza przyczyniła się do tego założona przez p. Regera *Równość* wraz z *Naprzodem* i innemi wydawnictwami galicyjskiemi.

Wystąpienie robotników na scenę czynnej walki polityczno-narodowej nie mogło się nie odbić w świadomości młodego pokolenia inteligencyi śląskiej, tak miejscowej, jak i przybyłej tam z Galicyi. Ta inteligencya zrozumiała, że sprawa polska na Śląsku Cieszyńskim — to sprawa całego ludu pracującego, nie zaś garści bogatych właścicieli ziemskich. Dlatego każdy, kto chce postępu polskości w Cieszyńskiem, musi pracować w duchu interesów ekonomiczno-społecznych tych mas najuboższych. Z drugiej strony ta inteligencya zrozumiała, że nie wystarcza walczyć z germanizacyą, że czechizacya jest na razie daleko od niej niebezpieczniejsza! Kiedy germanizacyi ulega tylko nieznaczna część ludności miejskiej, ofiarą czechizacyi padają robotnicy i chłopi, a więc te warstwy, na których właśnie opiera się siła polskości w Cieszyńskiem. Wobec tego młoda inteligencya, grupująca się dokoła *Głosu ludu śląskiego*, wydawanego w Frysztacie, stanęła w obronie mas pracujących i rozpoczęła systematyczną kampanię z zapędami czechizatorów. Kilkoletnia działalność tej inteligencyi, na której czele stoją pp. Friedel, Seidel i inni, zrobiła bardzo dużo dla spolszczenia Cieszyńskiego, tembardziej, że w sprawach, dotyczących robotników, szła ręka w rękę ze stronnictwem p. Regera.

Niezbyt dawno inteligencya ta, opierająca się głównie na uboższych chłopach i drobnomieszczaństwie polskiem po miastach, zorganizowała się w samodzielne stronnictwo „radykalne.“ Skupiło ono swoich zwolenników w t. zw. „Jednościach,“ odgrywających niepoślednią rolę kulturalną, ale dotychczas samodzielnie, jako odrębna całość polityczna, nie występowało. Dopiero teraz, przy zbliżających się wyborach do sejmu opawskiego, radykali wysunęli własnego kandydata w okręgu Cieszyn - Frysztat - Jabłonków, w osobie dr. Franciszka Friedla, kierownika banku rolniczego w Frysztacie, i jednocześnie zgodzili się na jednego z kandydatów centralnego komitetu wyborczego (narodowców), żądając, aby ten ostatni zrzekł się kandydatury ks. Świeżego. Ponieważ Polacy wysyłają do sejmu dwóch posłów, przeto radykali uznają za słuszne, że jeden z nich będzie należał do ich obozu. Odpowiadałoby to zupełnie dzisiejszej równowadze sił politycznych w Cieszyńskiem. Ale dla zrobienia miejsca kandydatowi radykałów należy usunąć kandydaturę ks. Świeżego, na co narodowcy wcale nie chcą się zgodzić, choć ks. Świeży jest zgrzybiałym starcem, najzupełniej nienadającym się do pracy parlamentarnej. Bojąc się jednak aby dr. Friedel nie uzyskał większości nawet w razie dalszego kandydowania ks. Świeżego, narodowcy weszli w konszachty z Niemcami, a przywódca tych ostatnich, dr. Demel, prosił usilnie, aby ks. Świeży nie odstępował od kandydatury, a Niemcy go poprą, gdyż dr. Friedel znienawidzony jest przez najbardziej wpływowe sfery niemieckie. Charakterystycznem jest, że jakkolwiek Niemcy uchwalili postawić własnych kandydatów w okręgu Cieszyn-Frysztat-Jabłonków i nawet zgodzili się już co do osób, to jednak kandydatur tych jeszcze nie ogłaszają. Również *Nowy Czas*, organ osławionego polakożercy, superintendenta Haasego, oświadcza, że jego zwolennicy głosowaliby tylko za ks. Świeżym, a za żadnym innym Polakiem.

---

pliwiej się zgodziłem, że mogąc stać się użytecznym tobie, jednocześnie nie uczynię krzywdy swemu żołądkowi, kuchnia bowiem u tego zgniłego dziada jest wyśmienita, a bez wieczerzy przecież nas nie wypuści.

Domeczek Matsumy — jak się okazało nazajutrz—jest pałacem, położonym wśród nieopisanie pięknego ogrodu. Powiadam ci — cacko ze szlachetnego metalu, wyrzeźbione ręką artysty — takie wrażenie sprawia pałac ze swem urządzeniem, a ogród — to zakątek raju. Jestem poprostu zachwycony, Tayotomi nie mniej, młode latorośle również.

Tylko Liote starała się być powściągliwą w ujawnianiu swych wrażeń, chwilami opuszczała powieki, chcąc ukryć podziw i zachwycenie, przebijające się w jej oczach. Ale gdy doszliśmy do kwiatów i wonnych gaików, rozbrzmiewających śpiewem ptasząt, prysła jej powaga, zaczęła klaskać w dłonie, cieszyła się, jak dziecko.

Porównałeś ją do motyla. To trafne. Była jak motyl barwny, rwący się radośnie do słońca, kołyszący się nad otwartymi kielichami kwiatów. Ustami dotykała chryzantem, całowała wązkie, pokręcone płatki barwy ciemnej purpury lub złota, powtarzając:

— Jakie one śliczne!

W tym samym czasie Matsuma, mrugnąwszy na mnie porozumiewająco, szepnął mi do ucha:

— Niebrzydkie gniazdko usłałem, jak myślisz?

W ogrodzie gromadka nasza jakoś się rozproszyła, a po niejakim czasie spostrzegłem Liote samą nad brzegiem szemrzącego strumyka, w którym kąpały się płaczące gałęzie jakichś nieznanych mi a bardzo pięknych krzewów. Usiadła na złomie kamiennym, rzuconym przy brzegu.

Usposobienie jej widocznie ulega nagłym zmianom, bo to, co malowało się teraz na jej twarzyczce i w oczach, nie było ani powściągliwą powagą, ani współdziecięcą uciechą. To był smutek.

Ujrzawszy mnie, szepnęła:

— Oh, panie Hwansano, życie jest złe, smutne i niesprawiedliwe.

Zaskoczyła mnie gorycz tego naiwnego wyznania, powtórzyłem więc tylko, jak echo:

— Tak, życie bywa niesprawiedliwe, smutne i złe. Zwłaszcza — dodałem dla osób, które dobrowolnie przysparzają sobie zmartwień i zamykają oczy na radosną i ponętną życia stronę.

— Może to nie ich wina—odrzekła z powagą, z którą podług mnie nie jest jej do twarzy.— Może to oczy ich inaczej jakoś są utworzone. Bo proszę pana, wszak dla jaskółki radosną stroną życia jest światło dzienne, przestworza jasne, rozległe, a sowie sprawiają radość nocne mroki, lot pod dusznem sklepieniem piwnic.

Z usposobienia Liote i słów jej miarkuję, że gdybyś ty był właścicielem owego pałacu podmiejskiego, wtedy życie byłoby „sprawiedliwe, wesołe i dobre.“

Niestety — obym się mylił — nie sądzę jednak, poczciwy chłopcze, żebyś się prędko zbogacił. Podstawą szybkiego bogacenia się jest zawsze odrobina złodziejstwa, nieco oszustwa i dużo krzywdy ludzkiej, a to nie twój oręż do walki.

Żałuję, mój Mito, że nie mogłem ci napisać nic przyjemniejszego, a skoro twierdzisz, iż cynizm jest maską moją, więc odrzucam ją na chwilę i mówię ze szczerym bólem: Biedne wy dzieci i czeka was wiele przykrości.

(D. n.).

Takie wypowiadanie się obozu antypolskiego za kandydatem narodowców kompromituje tych ostatnich w najwyższym stopniu, bo dowodzi, że Niemcy nie uważają takich Świeżych i innych podobnych do niego manekinów politycznych za szkodliwych dla siebie. I właśnie z tego powodu należy życzyć zwycięztwa dr. Friedlowi, który dał się już poznać jako energiczny i bardzo niebezpieczny dla wszystkich wrogów polskości w Cieszyńskiem działacz polityczny. Wkroczenie do sejmu opawskiego przedstawiciela „młodych“ mogłoby położyć kres uprawianej tam dotychczas przez posłów polskich polityce skrajnego oportunizmu i hołdowania przez nich „czeskiemu prawu państwowemu.“

*Daleki.*

---

## FEJLETON.

# Ludziom złej woli.

> Mądrość przed domy opowiada, na ulicach swój głos wypuszcza, w główniejszych gromadach woła, we drzwiach bram miejskich wydaje słowa swe, mówiąc: Dokąd że, maluczcy, będziecie miłować dzieciństwo?
>
> *Latopis Nestora.*

Dambery opowiada, że jakiś Anglik, przybywszy do Mekki, sprawdził, iż meczet Beitallach nie stoi ściśle na wschód, ale odchyla się o kilka sekund. Gdy z tem się głośno odezwał, wyznawcom Mahometa pozostało jedno z dwojga: albo meczet przebudować, albo owego Anglika zgładzić. Wybrali to drugie.

Gdy z powodu studyum dr. M. Gumplowicza napisałem w fejletonie, że sprawa biskupa Szczepanowskiego ukazuje się w nowem oświetleniu naukowem, redakcyi *Słowa* pozostało jedno z dwojga: albo rzecz przestudyować, albo spróbować mnie w opinii polskiej społeczności zgładzić. Wybrała to drugie.

Istnieje śród ludzi zaśniedziałych szczególne mniemanie, że poeta to taki człowiek, który wkłada wielki palec do ust i ssie z niego wszystkie swoje wiadomości. A jeżeli jeszcze poeta należy do stronnictwa postępu, to mówi się o nim z uśmiechem politowania: „On historykiem nie jest, literatury nie zna; nie widział dzieł, o których pisze, a najwyżej zna je z okładek!“ (*Słowo* nr. 237). Tak ujemne mniemanie, rzecz szczególna, wyrobił sobie o ukształceniu poetów organ, który na redaktora zaprosił *poetę*, Ignacego Balińskiego.

Nie nazywałem siebie nigdy poetą, bo byłby to już sąd; pisuję tylko wiersze. Tem bardziej wolno mi nie nazywać siebie historykiem, choć niektóre momenty dziejowe badałem. Ale taki brak wiedzy historycznej, o jaki mnie posądza *Słowo*, jest nieuctwem i redakcya *Słowa* wpada w wielką sprzeczność, jeżeli z niem *polemizuje* i poświęca mu aż *dwa sążniste artykuły.* A będzie ich prawdopodobnie znowu więcej.

Anonimowy autor tych artykułów w *Słowie*, podpisany literami R. S., zarzuca mi nietylko nieuctwo, o czem niżej, nietylko gniew na kościół katolicki, o czem nie warto, aby było niżej, ale rozmyślne fałszowanie historyi, o czem przedewszystkiem będzie niżej; mniemam bowiem, że taki zarzut stawię właśnie p. R. S. i że go udowodnię, z którego to dowodu okaże się, że podobnym insynuantom, jak p. R. S., bardzo wygodnie ukrywać się pod literami R. S. Nauka chodzi z twarzą odsłoniętą; kalumnia lubi przywdziewać przyłbicę.

Autor mniema, że Szujski przyznawał istnienie w Polsce obrządku słowiańskiego przed łacińskim. Otóż jest to wierutny fałsz, i aczkolwiek znam dzieła Szujskiego tylko „z okładki,“ pozwolę sobie otworzyć „Dziejów Polski“ (Lwów 1862) tom I, str. 46, gdzie stoi wyraźnie: „Że słowiański obrządek uprzedził łaciński, na to żadnych pewnych niema dowodów.“ A ponieważ radziłem czytać Szujskiego „ostrożnie,“ więc zwracam uwagę p. R. S., że o jedno zdanie wyżej stoi: „Polska od strony Wielkiej Morawii niezawodnie była apostołowaną.“ Na str. 33 zaś czytamy nawet przypuszczenie, że obcy przybysze (według legendy aniołowie), którzy nawiedzili Piasta, „mogli to być właśnie Cyryl i Metody“ (na czem prawdopodobnie Włodzimierz Tetmajer oparł swój piękny poemat dramatyczny). Są to w Szujskim sprzeczności, których niebawem znajdziemy więcej. Pan R. S. drży z oburzenia, iż żałuję tego słowiańskiego obrządku, więc mu nie przytoczę zdania jakiegoś „rozczochrańca z Krytyki“ (styl naukowy historyka *Słowa!*), ale ni mniej ni więcej, tylko zdanie Michała Bobrzyńskiego (Dzieje Polski w zarysie T. I, str. 95, wyd. z r. 1887):“ Pod sankcyą Rzymu zaczęła się cywilizacya wschodnia w ludach słowiańskich zachodnich rozszerzać, *przekroczyła nawet Karpaty, zapuściła głębsze, niezatarte jeszcze po kilku wiekach korzenie i zbawienne wydała owoce.*“ Tylko p. R. S. miesza obrządek *katolicko-słowiański* z obrządkiem *greckim.* Czyżby p. R. S., który zarzuca innym znajomość dzieł „z okładki,“ nie czytał Bielowskiego „Synów Chrobrego“ (Pismo zbiorowe Ohryzki, Petersburg 1859), gdzie stoi jak wół: „Był za czasów jego (Mieszka II) w Polsce obrządek rzymsko-słowiański i ten za *narodowy nasz* uważano. Przychodził on niegdyś do nas od strony Moraw; zagnieździł się więc głównie w południowej części kraju, której stolicą był *Kraków.* Czyżby p. R. S. nie zaglądał do ks. Łętowskiego „Katalogu biskupów krakowskich“ (T. I, str. IV), gdzie stoi wyraźne ostrzeżenie, że ten obrządek słowiański „nie miał nic wspólnego z ruskim kijowskim“? To przecież trzeba wiedzieć, skoro się ludziom zarzuca nieuctwo i Radziejowszczyznę. Otóż tego narodowego obrządku przedstawicielem był, wedle mniemania Gumplowicza, biskup Szczepanowski. Lud nie rozumiał łaciników-cudzoziemców. Latopis Nestor (Kijów, 1860) na str. 44 przytacza żale Słowian: „Ne razumiem ni Hrecz'sku jazyku, ni Łatyńsku.“ Gdy Cyryll i Metody przełożyli Apostołów i Ewangelię, „uradowali się Słowianie, bo usłyszeli o wielkości Boga, opowiadanej własnym ich językiem.“ Rzymski papież z początku stawał w obronie obrządku słowiańskiego, na tem opiera się nawet p. R. S.; ale zaraz pyta naiwnie: skoro Rzym to uczynił, czemu nagle staje wrogo przeciwko temu obrządkowi? Ba, to trzeba wiedzieć. Pisze o tem Maciejowski („Historya prawod. słow.,“ wyd. 2, T. II, str. 194: „Duchowieństwo, czytające mszę św. na łacińskich tylko książkach, dostrzegłszy, że w miarę szerzenia się słowiańskiego obrządku utracać będzie wpływ na ludy słowiańskie, przekładało papieżowi potrzebę uchylenia przywileju czytania na księgach słowiańskich, co też w r. 1054 uczynił.“ Do jakiego stopnia, jak mniema Szujski, Szczepanowski był „owiany“ duchem reform Grzegorza VII, mniema nietylko jakiś pan „z przytułku dekadentów“ (naukowy styl historyka *Słowa!*), ale Joachim Lelewel, którego naturalnie znowu tylko znamy „z okładki,“ ale który mimo to pisze („Polska śr. w.“ T. II, str. 301): „Sądzić należy, że biskup Stanisław z Grzegorzem VII nie był tej samej co do małżeństw myśli. Stąd biskup, ani wątpić, z Bolesławem, Grzegorza VII *sprzymierzeńcem...* w ostrej zostawał kolizyi.“ Listy, pisane do Bolesława przez Wratysława II i Grzegorza VII, a wreszcie obecność na koronacyi Bolesławowej całego zastępu biskupów (na którą to koronacyę papież mimo próśb nie zezwolił) dowodzi, że ówczesny kler nie uważał jednak Bolesława za takiego „Sodomitę,“ jak Długosz („Żywot ś. Stanisława,“ tłom. Karczewskiego, Kraków 1865). Ale gdy papież potrzebował sojoszu z Bolesławem przeciw Henrykowi IV, gdy krakowskie duchowieństwo, nie uznające, że majątki duchowne ma rozdawać papież, nie „owiane“ potrzebą celibatu itd., poczęło wraz z możnowładztwem urządzać Bolesławowi w domu zawikłania, Bolesław uciekł się do terroru, sprzątnął, czy kazał sprzątnąć, naczelnika ruchu, wiadomo zaś, że kara przez ćwiertowanie była wymierzana na zdrajcach. Ani Grzegorz VII, ani żaden kronikarz chrześciański *jednego słowa* oburzenia na to zabójstwo nie przekazał potomności! Arcykatolicki Gall (Kronika, Warszawa 1873) woła: „traditor!“ Szujski z zadziwiającą łatwością przechodzi nad tym okrzykiem do swych „pewników.“ Jakto: biskup i zdrajca, biskup i spiskowiec i — święty? Te brzemienne kontradykcye nie zastanawiają, nie uderzają Szujskiego, przeciwnie, już zdobył „pewniki“ (str. 84), że Szczepanowski był „owiany duchem reform Grzegorza VII“! Jest to istotnie jakby dumaniem o „niebieskich“ migdałach, w którem autor „Dziejów“ nie zapomni zanotować, że „W Szczepanowie jest podobno dotąd jeszcze wiąz, ręką jego (biskupa) sadzony.....“ *)

A teraz przejdźmy do sprawy „fałszowania historyi“ i do „logiki“ historyka *Słowa.*

Pan R. S. zgadza się z Zeissbergiem, że roczniki XI w. są sfałszowane i zarazem z naiwnością powiada, że papież na zasadzie tego, a więc „sfałszowanego“ dokumentu, biskupa kanonizował. Więc zgoda: roczniki są sfałszowane i podanie o Piotrowinie jest wymysłem Kadłubka, którego już nie powtarza w swej „Historyi“ (tłom. P. F. C., Łowicz, 1803). Ale gdy ogólnikowo mówi o lubieżności Bolesławowej, ile jej przykładów wstrząsających zna już Długosz! Twierdzi, że król popełniał grzech sodomicki, że kazał swą klacz przybrać po królewsku i oddawać jej honory. Więc oburzony Stanisław „z klaczy ubranie wszelkie zdzierając, dla objawienia hańby królewskiej nozdrza i całą paszczękę własną ręką uciął i bydlę, już samo przez się szpetne, jeszcze szpetniejszem uczynił, tym samym czynem okazując *zapał i czystość religii boskiej.*“ Kromer w „Sprawach, dziejach i wszystkich innych potocznościach koronnych polskich“ (tłom. Błażowskiego, Kraków, 1611) część tych bajd powtarza za Długoszem. Dlaczego o tem niema nic w Kadłubku, że nie powiemy już w Gallu? Ale czemu w bulli kanonizacyi Szczepanowskiego nic niema o podstawowym cudzie wskrzeszenia Piotrowina, gdy inne są wyliczone? Oryginał tej bulli ma się znajdować w składzie kapituły krakowskiej. Panowie tak lubicie delegacye — wydelegujcie tym razem kogo do Krakowa dla sprawdzenia... Choć od czasu Kadłubkow-

---

*) Ażeby mniemanie nasze o Szujskim oprzeć na opinii „istotnego“ historyka, przytoczymy tu zdanie Władysława Smoleńskiego („Szkoły hist. w Polsce,“ Warszawa 1898, na str. 133): „Autor (Szujski), zarzucający w r. 1862 papizmowi skostniałość i niemoralność, nazywający go archiwaryuszem dogmatu — w 1880 zbawicnie widzi tylko w związku z kościołem; pogromca Jezuitów, który złorzeczy za hypokryzyę, intrygi, egoizm i wsteczność, w kilka lat później uwielbia ich miłosierdzie, dbałość o światło i mądrość. Zakończył Szujski karyerę naukową najskrajniejszem wstecznictwem, które jaskrawiej, niż ktokolwiek inny, zaprawił jezuityzmem.“

skiej historyi z rocznikami XI w. lepiej byłoby wydelegować jakiego Zeissberga...

Redakcya *Słowa* szydzi z mego powiedzenia, „iż dzieje nasze potoczyłyby się inną koleją.“ Posłuchajcie tedy co pisze wasz Szujski, rozpoczynający przecież swe księgi od słów: „Przeznaczeniem narodów jest służyć idei opatrznej, bożej, która się w dziejach ludzkości urzeczywistnia.“ Powiada on: „Złamanie zupełne Słowian, wyniszczenie ich kraju, wyludnienie i *kolonizacya niemiecka* zapewniły zwycięztwo chrześciaństwu.“ Polska była chrześciańską, a jednak krzyżactwo „nawracało“ ją ogniem i mieczem. Kler łaciński z nielicznymi i nawet wspaniałymi wyjątkami, był zawsze kosmopolityczny. To są fakty, przeciw którym żadne oburzenie nie pomoże.

Ale na to wszystko redakcya *Słowa* ma taką odpowiedź: „pan N. wcale nie widział dzieł historyków naszych, a jeżeli, to z okładki.“ I jeszcze odpowiedź: „pan N., autor niedowiarczych legend (styl naukowy historyka *Słowa!*) jest przecież *zażalony* na kościół katolicki!“ I inna jeszcze odpowiedź: „pan N. powinien w chwili *obecnej* być cokolwiek powściągliwszym z wystąpieniem przeciwko kościołowi katolickiemu (badania historyczne mają być występowaniem przeciwko kościołowi katolickiemu!) — przypominamy Radziejowskiego — *Warszawskij Dniewnik* pochwalił fejleton p. N. — nie bądź z tego dumny, panie N.!“

I tu doprawdy stawić trzeba sobie pytanie: czy ci ludzie są istotnie tak źli, czy tylko tak— ciemni?.. Komu oni Radziejowskich wypominają?... Oni?... Wiedziałem wprawdzie, że nie wystawią tryumfalnego łuku, aby mój artykuł przejechał pod nim. Ale natomiast nie wiedziałem, że pełne nizkich insynuacyj wystąpienia zakończą słowami: „Cenimy w panu N. dużą wrażliwość, gorące porywy, gorliwość chęci w wielu punktach dobra publicznego.“ Dość tego! Żadnych jezuickich karesów! Ja wam, panowie, otwarcie mówię, że się wam wzajemnością „cenienia“ bynajmniej odpłacić nie mogę.

Bo ja was znam nie od dzisiejszego pokolenia! Co wy urządzacie mnie dziś, to wasi poprzednicy urządzali mojemu Ojcu niegdyś. Bo gdy po uwłaszczeniu chłopów razu pewnego zebrała się szlachta i mimo ciężkich czasów wnosiła zdrowie różnych „panów Adolfów“ i „panów Michałów,“ Ojciec mój, aczkolwiek uwłaszczeniem bardzo na majątku zubożał, wniósł zdrowie nowych obywateli-włościan, byśmy ich nareszcie za braci uznali. Więc zaraz poszły huki po kraju: „traditor — traditor!“ — i tylko niepokalany charakter ojca mojego zmusił tych ciemnych ludzi do milczenia.

Gdy Naruszewicz szukał prawdy o Szczepanowskim, krzyknęliście wraz z Szujskim: niedowiarek! Gdy Czacki wskazał na błąd biskupa, krzyknęliście: niedowiarek! Wobec historyi i — logiki! Dobrze, trzymam się waszych słów. Jeżeli każecie nam otaczać miłością postać dziejową Długosza, który w najgorszych barwach przedstawiał Piastów i pisał kłamstwa o Bolesławie, to na podstawie jakiej logiki nam nie wolno bronić Piastów i oczyszczać również dziejowej postaci Bolesława z tych kłamstw — i to bodaj tylko drogą naukowych poszukiwań lub rozpowszechnianiem dokonanych badań naukowych? Na zasadzie jakiej logiki komentowanie XI wieku jest „targnięciem się na kościół katolicki“? Czy znacie tak dobrze dogmaty kościoła, jak moi krakowscy oskarżyciele, którzy nie umieli odróżnić dogmatu Niepokalanego Poczęcia N. M. P. od dogmatu Zwiastowania i Dziewictwa, co zostało ustalone przez wyroki z d. 1 marca i 5 kwietnia r. b.? Jeżeli się ktoś oburza, to przynajmniej powinien wiedzieć, co go oburza. Ale was to wszystko nie obchodzi. Dla nauki i cywilizacyi, kierując się takiemi tendencyami, nie zrobicie nic, skoro za każdym badawczym umysłem i za każdym szczerym człowiekiem szczujecie tłum artykułami: „huzia—traditor—traditor!“ Każdy tryumf europejskiej nauki, każdy przewrót w poglądach na świat, zakrywaliście waszemi derkami, każdą prawdę naukową zamykaliście najpierw na klucz, a piszecie tylko to, co raczy zezwolić bieżący proboszcz parafii, *Słowo*.

„Nie wiemy, co mówi maleńka książeczka Gumplowicza, *) ale“ — to wasze słowa — ale z góry ją potępiacie. „Pan A. N. zawziął się na katolicyzm — pisze w rozdrażnieniu ale“ — to wasze spokojne słowa, ale ów „naukowy spokój“ kipi z wściekłości i bryzga pianą: „niedowiarek! — ateusz! — nie masz w domu ani jednej książki — patrzaj, kto ciebie pochwalił, o!“

„Czyń to, co do ciebie należy, nie troszcząc się o to, co się stanie“ powiedział Amiel. Bez tego nie będziemy nigdy mieli historyi w znaczeniu naukowem.

„Bych był,“ jak mówi Skarga, Izajaszem, Ezechielem — nie — Naruszewiczem, Czackim, Lelewelem, Bielowskim, i pisał wam o rocznikach XI w., o czeskich hussytach, prądach wielkiej reformacyi w Anglii, w Niemczech, rzucać chciał ich promień w to mroczne *giuoco del mondo*, wy, „bynajmniej nie szykanując,“ napisalibyście: „niedowiarek — traditor — człowiek, znający książki z okładek!“ —

Ale w społeczności naszej minęły już te ciemności, które was, jako latarki umysłowe, wyróżniały. Słońce ogólnoludzkiej oświaty już się nam ukazało na widnokręgu. Latarki wasze bardzo zbladły. Jesteśmy już silni, nie „gniewem“ lub „podrażnieniem,“ jak mniemacie, ale tem światłem, które na nas bije — a jedyna nasza zasługa, że się przed niem nie zamykamy w piwnicach. Jeżeli społeczeństwo kiedykolwiek nas nie zrozumie i jest innego zdania, niż my, *nie cofamy się*, jeżeli nas obrzuca ktokolwiek insynuacyami, uśmiechamy się, jeżeli w nas ktoś mierzy kamieniem, widzimy, jak ten kamień nie sięga nam nawet do obcasów... A mimo tak dumnego może stanowiska, bynajmniej nie uważamy się za esencyę społeczną, ani za jakichś delegatów — ale za sługi społeczności, której od nas należy się *wszystko*, a nam od niej — *nic*.

*Andrzej Niemojewski.*

*) Mylne jest mniemanie *Słowa* o rzekomo „niefortunnych występach dr. M. Gumplowicza z przed lat kilku.“ Prace jego od pierwszej chwili (1895) powitali prawie z entuzyazmem jeszcze ś. p. Łaguna i Pawiński. W tej chwili zaś otrzymuję z poczty nową rzecz z teki pozgonnej: „Die Quellen des Balduin Gallus,“ odbitkę z wydawanej przez Instytut dla historyi austr. przy uniwersytecie wiedeńskim rozprawy o „Źródłach Gallusa.“ Pawiński, Łaguna, — czy to także introligatorowie, badający „okładki“? a Instytut przy uniwersytecie wiedeńskim, czy to „przytułek dla dekadensów“?

# PAMIĘTNIK.

## Obchód jubileuszowy.

Powagą niezwykłą i uroczystością nacechowany był obchód jubileuszowy Maryi Konopnickiej. Wzięli w nim udział przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa, wystąpiły niezliczone delegacye od polskich instytucyj i stowarzyszeń; takie nawet ciała naukowe, jak Uniwersytet Jagielloński i krakowska Akademia Umiejętności, których działalność i dążenia były zawsze dosyć dalekie od ideałów społecznych wielkiej poetki, nie zawahały się tym razem uchylić czoła przed olbrzymim talentem i zasługą i w pięknie pisanych adresach złożyły hołd należny Królowej Poezyi. W adresie Uniwersytetu Jagiellońskiego zasługuje na uwagę ustęp, podnoszący gorącą miłość ludu, która bije z utworów Konopnickiej: „Nachyliłaś się do pieśni ludowej i języka ludu, jak nikt zapewne przed Tobą... Nachyliłaś się, aby sięgnąć do duszy ludu, objąć jego radości, nadzieje, a jeszcze silniej troski, zawody i cierpienia, wynieść je na światło, pokazać światu i budzić dla szarej doli współczucie.“ W adresie Akademii umiejętności, ułożonym i podpisanym przez jej prezesa, Stanisława hr. Tarnowskiego, podniesiono między innemi wzniosłość uczuć i dobrą wolę, towarzyszące zawsze twórczości znakomitej poetki. „My, współcześni, nie możemy wiedzieć, jakie miejsce w „narodowych pamiątek kościele“ wyznaczy ci potomność, ale to możemy i powinniśmy przed nią zaświadczyć, że Twój cel był dobry, Twoja miłość prawdziwa, Twoja zdolność wyższa. Gdzie się te warunki schodzą, tam sława pisarza zapewniona jest na przyszłość.“

Obchód jubileuszowy rozpoczął się wsobotę 18 b. m. powitaniem Konopnickiej na dworcu krakowskim i przemową w imieniu zgromadzonych tłumów prezesa komitetu jubileuszowego, p. Kazimierza Bartoszewicza. Wieczorem odbyło się przedstawienie w teatrze, na które złożyły się dwie sztuki jednoaktowe, przerobione z nowel jubilatki („Miłosierdzie ludzkie“ w przeróbce A. Nowaczyńskiego i „Bociany“ w przeróbce A. Marka), a oprócz tego deklamacya przepięknych utworów Konopnickiej, z których jeden („W piwnicznej izbie“) powiodło się udatnie uscenizować. Raut „Koła literacko-artystycznego“ i „Czytelni dla kobiet“ zakończył uroczystości wstępne.

Główna część obchodu odbyła się nazajutrz, 19 b. m., w obszernej sali „Sokoła,“ która jednak nie zdołała pomieścić wszystkich, pragnących wziąć udział w uroczystości. Tu, po odegraniu poloneza, skomponowanego umyślnie przez Żeleńskiego, nastąpił szereg przemówień, odczytano liczne adresy, złożono dary jubileuszowe. W liczbie przemawiających była przedstawicielka kobiet czeskich, pani Marya Maternowa, która w imieniu swych rodaczek przyniosła pozdrowienie narodowi polskiemu i jego największej poetce. Z Poznańskiego przybyło 21 delegatek i 2 delegatów, z Bytomia grono Ślązaczek, sporo osób z Warszawy, a w ich liczbie kilku redaktorów i literatów. Wszystkie ważniejsze miasta galicyjskie, wszystkie stowarzyszenia, zakłady i instytucye miały tu również swych przedstawicieli i mówców. Zjawiła się i deputacya ludu wiejskiego pod przewodnictwem pp. Włodzimierza Tetmajera i Lucyana Rydla, a w teatrze ludowym do licznie zgromadzonej publiczności, wśród której przeważały stroje wiejskie, przemawiali posłowie Wójcik i Bojko.

Uczta w wielkiej sali hotelu Saskiego, podczas której nastąpił znów szereg przemówień i odczytano mnóstwo nadesłanych telegramów, zakończyła podniosłe uroczystości krakowskie. Były one wspaniałym hołdem całego społeczeństwa polskiego, złożonym ukochanej przez naród poetce, i zarazem odpowiedzią dla tych nielicznych gadzin, które nawet w jubileuszowym jej roku ośmielały się z jam swych podnosić syki złowieszcze. *Wł. B.*

## Waryaci i filantropia.

Jednym z najwonniejszych wyciągów cywilizacyi i ładu społecznego, prawdziwym *extrait triple*, jest szereg raz po raz ujawnianych w pismach codziennych faktów — to o wyjątkowo złośliwem pastwieniu się gawiedzi nad jakim waryatem lub waryatką, to o całych gromadach istot obłąkanych, przetrzymywanych w areszcie policyjnym, bo niema ich gdzie podziać.

Tych biedaków los już dotknął najsroższem nieszczęściem, jakie stać się może udziałem myślącej istoty ludzkiej. Świat rzeczywisty, w którym mieli niegdyś prawa jednostek uspołecznionych, zamarł dla nich, a ten dziwny światek wyobraźni, obejmujący teraz ich błędne myśli, daje się z łatwością zamknąć w najlichszym kątku, jakim świadomy swych pragnień pies wzgardziłby nawet. Są oni bez rodziny, bez opieki, bez praw i bez oporu — więc... niech siedzą w areszcie. Tam przynajmniej mają dach, strawę, tam nie lżą ich i nie szarpią gromady uliczników. Straszne. A cóż Towarzystwo opieki nad umysłowo chorymi? Liczy w swym ubogim mieszku dobre chęci i urządza jakąś licytacyę na ofiarowane mu przedmioty, groszowej lub rublowej wartości. A publiczność? Słucha, gwiżdże lub rozczula się i pyta: czemu na tych kilkunastu nie odbędzie się jeszcze jarmark, tombola lub coś podobnego?

Istotnie, czemu? Wszak niema takiej potrzeby społecznej, nawet z liczby najważniejszych, nurtujących w organizmie społecznym aż po rdzeń, aż do wywołania ogólnego bezwładu i niesłychanie trudnych do prawidłowego zaspokojenia, z ktoremi filantropia nie próbowałaby się załatwić przez wywrócenie paru koziołków. Co to komu szkodzi, że czyjeś ewolucye gimnastyczne poprzedzone będą rzewną przegrywką *Kuryerów* na temat nędzy ludzkiej i bezmiernego współczucia dla niej w „szerokich kołach,“ a zakończone miauczeniem: „Niedobór, niedobór, niedobór!..“ Czy komu sprawiły boleści gromkie fanfary, okrzyki tryumfu, poprzedzające uroczyste „przecięcie taśmy,“ i wreszcie zabawa, otwierana przez grono ludzi zawsze jednych i tych samych, do dziesiątków zabaw rok rocznie powtarzanych bliźniaczo podobna i kończąca się powszechnem ziewaniem? Ostatecznie trafia się nawet czasem drobna przewyżka dochodu, jakieś paręset rubli na potrzebę, wymagającą dziesiątków lub setek tysięcy.

Wydawać się może, iż hece filantropijne nikomu nie pomagają, lecz i nikomu nie szkodzą. W istocie one zawsze są krokiem wstecz. Gdzie potrzeba rozbudzić samowiedzę i poczucie obowiązków społecznych w masach, by mogły one zrozumieć pobudkę do działania zbiorowego, tam filantropia na głowy ospałych kładzie — pierzynę. Zabawiliście się, potańczyliście na *cel dobroczynny*, teraz nic wam nie zamąci spoczynku. Długo jeszcze waryaci błąkać się będą po miastach naszych wespół z psami bezdomnymi, stokroć od nich nieszczęśliwsi. *Br. Ow.*

### Prowokacya polska.

Oto mamy jaszcze jeden dowód kulturalności narodu Goethego i Schillera. W niedzielę w Bielsku tłum agitatorów niemieckich urządził wielką demonstracyę antypolską z powodu poświęcenia polskiego „Domu narodowego,“ który powstał staraniem ks. Stojałowskiego. Obrzucono błotem dom, gdzie mieszkał Stojałowski, wybito w nim wszystkie szyby, ciskano kamieniami na przybywających pociągami gości polskich, napadano na idących spokojnie ulicą Polaków itp., a na zebraniu tego samego dnia uchwalono gorący protest przeciw polsko-klerykalnemu najściu na Bielsk, wzniesiony rzekomo pracą niemiecką.

To wszystko, razem wzięte, nosi miano koniecznej obrony przeciw „prowokacyi polskiej.“ Doprawdy, zdziczenie i buta germańska nie mają już granic.

### Reklama a rzeczywistość.

Po zamknięciu zimowej kampanii koncertowej niektóre z *Kuryerów* zaczęły podawać sążniste artykuły o przeróbkach, jakie mają być poczynione podczas lata w gmachu Filharmonii, o olbrzymich udogodnieniach dla publiczności, przyczem podnoszono wysoko zabiegliwość i inne cnoty zarządu instytucyi. Lato minęło, rozpoczął się nowy sezon i dziś już widzimy, że rzeczywistość dokonanych czynów daleka jest od tych obietnic, które głoszono przy wtórze hałaśliwych dzwonków reklamy dziennikarskiej. Wszystkie bowiem przeróbki i udogodnienia sprowadzają się do tego, że — wybito jedne drzwi z wielkiej sali do kameralnej. W dni powszednie pozwala to wprawdzie słuchaczom przechadzać się w czasie antraktów w sali kameralnej, ale w święta, kiedy w tej ostatniej odbywają się przedstawienia Miłośników, wszystko pozostaje po dawnemu i ludzie tłoczyć się muszą z narażeniem życia i zdrowia w wązkiej szyi, zwanej „foyer.“ Bodaj to mieć przyjaciół w poczytnym *Kuryerku*. *h.*

### Stajnie wyścigowe.

A więc stało się! Kilku „panów“ i „półpanków“ wyprzedaje swe stajnie wyścigowe. Czy sądzicie, że czynią to dla idei, aby poświęcić się prawdziwie pożytecznej pracy „społecznej“ na innem polu? Bynajmniej! Rozstrzyga tu, jak zwykle — rubel. Póki ci panowie mieli nadzieję „robić interesy“ na wyścigach i totalizatorze, póty z zaciekłością, godną lepszej sprawy, bronili toru mokotowskiego i wszelkich jego spraw, prawili o poprawie rasy końskiej i innych podobnych „ideach.“ Ale teraz, kiedy jedynie amerykańscy dżokeje biorą nagrody, a posługiwanie się nimi okazało się zbyt kosztownem — zwija się chorągiewkę, bo tu nie chodzi już o kieszeń „hołoty,“ składającej ostatni grosz w ofierze totalizatorowi, rujnującej się i demoralizującej, lecz — o całość kies wielkopańskich. O ten głaz rozbiły się odrazu wszystkie ideowo-końskie zapędy. *g.*

---

## LITERATURA I SZTUKA.

# Emil Zola.

### III.

Sądzić Zolę nietrudno, gdyż błędy jego biją w oczy; oburzać się na dzieło jego i wydawać na autora wyroki potępiające i zniesławiające — można również bez wielkiego wysiłku, gdyż powodów do tego mamy aż nadto na powierzchni jego pracy. Ale dla ludzi nieuprzedzonych, którzy nie szukają dla siebie zaszczytu w radosnem stwierdzaniu swej przewagi nad nim, z powodu cnót faryzeuszowsko-reporterskich (robi to zawsze z rozkoszą nieopisaną p. Teodor Jeske-Choiński), dla ludzi, którzy potrafią unikać tanich argumentów, działających na ogół łatwowierny, i oklepanek zużytych, przemawiających do umysłów, którym nie chce się myśleć — nietrudno również zejść, gdy mowa o twórczości Zoli, ze stanowiska oburzenia „cnotliwego“ i łatwego urągania temu wszystkiemu, co w dziele jego było bezużytecznie niesmacznem, niepotrzebnie brudnem i odpychającem. Tem łatwiej, że po za śmieciem sprośności łatwo tam dostrzedz rzeczy mocne i trwałe, uderzające wyobraźnię siłą, przemawiające do rozumu wielkością pomysłu, logiką przedstawienia, odczuciem spraw olbrzymich, wyrwanych z łona społeczeństw ludzkich.

Nie będziemy więc Zoli i rodzajowi twórczości jego wytaczali procesu z takich np. powodów, że każe słowikom śpiewać we wrześniu, że „bluźnierstwami swemi pragnie zastąpić Ewangelię“ (tak!) i t. d. Nie mamy do niego pretensyi—jak niektórzy uczeni i pseudo-uczeni — za to, że zbytnio wierzył teoryom dziedziczności i, na podstawie jej danych, przekształcał rzeczywistość, gdyż jeżeli tu błądził, to błądził wspólnie z twórcami tych teoryj, z Darwinem, Weismannem, Naegelim, którzy także stwarzali hypotezy, których poglądy były obalone, uznawane za fałszywe lub niezupełnie zgodne z prawdą. Zola nie był badaczem naukowym, nikt się do niego nie będzie zwracał, jak do źródła wiedzy ścisłej — był tylko powieściopisarzem, który ma prawo wciągać do rozważań swoich wszelkie prawdopodobieństwa, domysły i hypotetyczne wyobrażenia o rzeczywistości.

Ustaliło się o nim, jak wogóle o twórcach naturalistach zdanie, że był tylko fizyologiem, nie mając uzdolnień psychologicznych, że nie wnikał w głąb istoty ludzkiej. Dość zabawnie, chociaż miażdżąco, wyglądają te zarzuty. Zola był zarówno fizyologiem, jak psychologiem, w równym stopniu pierwszym, co drugim, stosownie do tego, jak wymagał jego rodzaj twórczy. Śmiesznem jest twierdzenie, że u Zoli fizyologia tylko występuje, choćby dlatego, że nawet przy zwracaniu głównie uwagi na czynności fizyologiczne, nie pomijał towarzyszących im objawów psychicznych. Najelementarniejszym czynnościom ustrojowym odpowiadają u niego zawsze wywoływane przez nie wzruszenia, uczucia itp., słowem — stany psychologiczne. Psychologia jego jest często pobieżna, połowiczna, a więc niedostateczna — ale żeby jej zupełnie nie było, jak się o tem klepie bezustanku, lub żeby zawsze była błędną, tego za prawdę uznać niepodobna. Właśnie, zdaniem mojem, psychologia jego, chociaż pobieżna, jest często trafna i odpowiednia dla typów ludzi, które stwarza. A że nie zgłębia istoty ludzkiej, dzieje się to dlatego, że rodzaj powieści jego nie pozwala na drobiazgowe wnikanie w złożoność psychiczną istot ludzkich i na roztaczanie wszelkich ich subtelności i odcieniowych stanów duszy. Nie leży to i leżeć nie mogło w zamiarze autora.

Społeczny przeważnie charakter utworów Zoli nie dopuszczał i nie wymagał tego rodzaju studyów drobnowidzowych nad życiem wewnętrznem człowieka. Nie weszłoby to w ramy jego prac, nie mogłoby stać się celem takiego, jak Zola, powieściopisarza, odwracałoby go to bowiem wciąż od właściwego przedmiotu, mianowicie od przedstawiania życia jakiejś większej gromady ludzkiej i uwydatniania kilku zasadniczych, elementarnych sił, rządzących niem. Ponieważ zaś życie społeczne jest przeważnie wypadkową potrzeb, żądz i namiętności nieindywidualnych, lecz odczuwanych ogólnie przez większość jego członków, ponieważ nie jest wynikiem subtelnych lub wyjątkowych stanów psychicznych, dających się obserwować w rzadkich, nie zaś codziennych chwilach, i to wśród nielicznych jednostek, więc z konieczności powieściopisarz-socyolog, jakim był Zola, nie może posuwać zbyt daleko swojej analizy psychologicznej. Stąd też u Zoli psychologia jednostek jest pobieżniejszą od zbiorowej, niekiedy zbyt abstrakcyjną, nieindywidualną. Wynikało to również stąd, że — jak to zauważyłem poprzednio — Zola uzależniał zbytnio życie jednostki od życia otoczenia, było więc ono mniej samodzielnem, najczęściej odbiciem ostatniego. Postacie jego są z tych powodów mało złożone, poruszane jednym impulsem, nieposiadające zdolności zbaczania z drogi, po której idą, tego, co Epikur nazywał zdolnością uchylania się — „clynamen.“

To ostatnie można i należy mu zarzucać, lecz o tem później, gdyż to wypływa z całości jego doktryny twórczej.

Tymczasem stwierdzmy, że tam, gdzie chodziło o człowieka, działającego w gromadzie, gdzie odbierał on pobudki od otoczenia i był opanowany przez siły wyodrębnione, naczelne, poruszające, bez ograniczeń, masą, tłumem, tam wszędzie Zola występował jako psycholog głęboki i przenikliwy, wnikający doskonale w ukryte sprężyny i mniej zewnętrzne strony życia duszy ludzkiej! Ruch tłumów, ich namiętności, falowania uczuć, szały i porywy gwałtowne, odtwarzał z prawdą zdumiewającą i zgodnie z rzeczywistością, jak mało kto, a miało to widocznie wartość psychologiczną, gdy o tem wszystkiem mówią z uznaniem uczeni, pracujący nad psychologią mas (por. między innemi Sighele *La folla delinquente* — tłum zbrodniczy). Można zrobić niemało zarzutów poważnych doktrynie artystycznej Zoli i jego twórczości. A więc naprzód: wielki ten pisarz łudził się, gdy sądził, że z twórczości imaginacyjnej można zrobić narzędzie badania naukowego, a z twórcy — eksperymentatora. Założenie to obalił przedewszystkiem sam swoją własną pracą. Nie jest eksperymentem to, co wypływa z samowoli umysłu twórczego, który wypadkom nadaje taki bieg, jaki najlepiej popiera powzięte z góry przekonania o ludziach i zmusza ich, by postępowali tak, jak on chce, jak chce teza, którą jest przejęty. Taki „eksperymentator“ nie dowodzi wcale, że następstwo faktów jest takiem, jak tego wymaga determinizm zjawisk poddanych badaniu,“ gdyż porusza on postaciami, które zrodziły się w jego umyśle i w ramach przygód przez niego wybranych; ów determinizm zjawisk jest tylko determinizmem z przypadku, nie zaś koniecznością powszechną, którą odkryliby koniecznie wszelcy inni badacze. Nawet obserwatorem dokładnym i przedmiotowym nie mógł być Zola w takim stopniu, jak inni, naprzód dlatego, że spostrzeżeniami jego kierowały pojęcia i idee, wyrobione przed przystąpieniem do obserwacyi, co nadawało zjawiskom postać przechodzącą rzeczywistość, a następnie, że posiadał indywidualność za silną, wyobraźnię zbyt niepohamowaną, umysł logiczny, geometryczny, a to wszystko sprawiało, iż nie mógł zadawalać się wrażeniem bezpośredniem, odebranem od rzeczywistości, lecz dążył do uporządkowania jej, do skucia regułami, do wyszukania dla niej praw, tłomaczących jej istotę, symbolów — upraszczających jej zrozumienie. I dlatego to, między innemi, postacie jego, w większości wypadków, nie są indywiduami, lecz jednostkami typowemi, wyobrażającemi życie grup całych, są wykładnikami pewnych warunków bytu, ogólnych stron życia ludzkości. Z tego też względu Zola nie był naturalistą, w ścisłem znaczeniu wyrazu, natury nie kopiował niewolniczo, lecz przerabiał ją, dodawał raz, inny znów ujmował, ściągał do formuł i mianowników. Naturalizm jego, w każdym razie, był szkolnym i doktrynerskim, niewiele mającym wspólnego z pełnym swobody, opartym na zgodności wrażeń osobistych ze światem zewnętrznym, naturalizmem Guy de Maupassant'a. Nie powiem jednak, iżby to była rzecz chybiona lub też nieprawowita, gdyż Zola nic innego nie robił, jak to tylko, czego się domagają wszyscy twórcy indywidualni: przedstawiał świat, zgodnie z tem złudzeniem, jakie wszczepiło się w jego umysł, jakie utrzymywało się tam, dzięki jego kulturze, rodzajowi temperamentu itd. Jedni odtwarzają świat na podstawie złudzeń pogodnych, inni — melancholicznych, jeszcze inni — zniechęcających. Zola przedstawiał go na podstawie złudzenia brutalnego, ponurego i krwawego, wyobrażając go sobie głównie ze strony tragizmów fatalnych. Stał się ich epikiem, poetą jednostronnym, ale odczuwającym potężnie całą ich grozę, cały ich nacisk nieubłagany na życie człowieka. Naturalizm Zoli zasłużył się dobrze tem właśnie, że podkreślał znakomicie oddziaływanie świata fizycznego na wyższe formy istnienia ludzkiego, że zwracał uwagę na zależność ducha od materyi. Nadało to osobliwszą cechę jego twórczości, wypełniło ją błędami i fałszami nawet, ale wyniosło wysoko to, co było aż nadto zaniedbanem, z czem się niebardzo liczono, mając na względzie człowieka. Niech inni, twórcy innego typu i usposobień, wykazują i wynoszą czynniki przeciwne, owszem, prosimy, byle tylko z mocą indywidualną i potęgą wizyonerską, nie sądzimy jednak, że kto robi inaczej, tak jak Zola, nie dostąpi zbawienia, nie uosabia sztuki prawowitej, nie urzeczywistnia należycie, po swojemu, jej zadań.

Pretensye do naukowości, żywione przez Zolę, chęć uczynienia ze sztuki środka pomocniczego w badaniach naukowych, dużo wniosły fałszywego w dziedzinę twórczości, a raczej do techniki artystycznej. Obciążyły wyobraźnię ołowiem przedmiotowości oschłej i martwej, gromadzącej obojętnie, bez wzruszenia nieraz i odczucia samoistnego, wszystko, co było faktem rzeczywistości, podpadającej pod zmysły. Ale pretensye te, stawiając obowiązek metodycznego badania świata, wzmogły sumienność umysłu twórczego, powściągnęły skłonność do fantazyowania w próżni i zmniejszyły jałową gołosłowność frazeologii, a co najważniejsza, wyrobiły w twórcach poczucie tego, że sprawy istnienia ludzkiego, zagadki życia, czynności indywidualne i społeczne, słowem rzeczy zawiłe i trudne, nie dają się rozważać i rozstrzygać w świetle wiedzy „domorosłej,“ bez pomocy wiedzy ścisłej, bez liczenia się z jej wymaganiami i poszukiwaniami. Zola — a z nim i naturalizm — dał wielki impuls do zajmowania się rzeczywistością, dopomógł znakomicie do wyrobienia w twórcach jej poczucia. Może być krótkowzrocznym ten, kto chce zamknąć człowieka wyłącznie w jej dziedzinie, wyczerpać jego zabiegi myślą o niej tylko — nie jest jednak pozbawionym podniosłości, kto na niej wzrok ludzki zatrzymuje. Bo nim się w człowieku zaczną odzywać wszelkie pragnienia i „dreszcze“ bytu zaziemskiego, nim się obudzą w nim porywy ku rzeczom nadzmysłowym, dusza jego dozna tylu dziwnych wstrząśnień w zetknięciu z rzeczywistością, tyle wypłynie stąd ku niej zjawisk, przejmujących ją zdumieniem i przerażeniem, uwielbieniem i trwogą, tyle odbierze od niej pobudek twórczych, że w utajonym i nierozerwalnym związku wciąż z nią będzią pozostawać, wciąż będzie ku niej powracać i wyczekiwać od niej ziszczenia swych marzeń, podtrzymania nadziei — pomimo wszelkie chęci i usiłowania wyzwolenia się z jej jarzma i uniknięcia jej złudzeń.

Tej potrzebie ludzkiej bratania się z rzeczywistością, wcielania swych ideałów w jej granicach i możności, Zola czynił zadość w szerokiej mierze, żył z ludzkością, podzielał najmniej urojone jej pragnienia, odczuwał jej elementarne, nieprzemijające żądze — wszelkie konieczności, którym jest poddana. Zarzucano mu, że ludzkość, odtworzona w jego dziełach, nic innego nie pragnie, prócz zdobywania środków istnienia materyalnego, że tylko myśli o jedzeniu, piciu, rozmnażaniu się itd., że tylko zaspakaja pierwiastkowe, zwierzęce potrzeby. Można się na to zgodzić, ale nie zapominajmy o tem, że Zola umiał, jak mało kto, pokazać, ile na tej drodze ludzkość ta spotyka niedoli i nędzy, jakie tu klęski i tragizmy ją ścigają, ile treści dramatycznej mieści to życie najprostsze, zaprzątnięte tylko tak poziomemi czynnościami, ściągnięte tylko do zasadniczych procesów organicznych. Wytrwaniem woli i ogromnym wysiłkiem wyobraźni objął Zola wszelkie objawy życia podobnego, odsłonił jego troski najdokuczliwsze i rozpacze najdziksze, jego poniżenia i poniewierki, rozdarcia bolesne, wybuchy epileptyczne, ekstazy i podniecenia płynące z poczucia cierpień i krzywd, z pragnienia pozbycia się klątwy bytu, unicestwienia form, dotykających człowieka w jego dostojeństwie. A przytem umiał odczuć i to, że te czynności elementarne, że te procesy najprostsze, jako powszechne i nieodłączne od natury ludzkiej, mogą rodzić piękno, że nie są tylko złem i niesławą rodzaju ludzkiego, że w naturalnym, niczem nieupośledzonym, niesplamionym fałszem, nietkniętym zarazą fizycznego i moralnego zwyrodnienia ich rozwoju, spoczywają podstawy odrodzenia społeczeństwa, nadzieja wyprowadzenia go z wertepów upadku i zepsucia, uchronienia od fatalizmów złowrogich.

Poszukując harmonii życia, posłusznego prawom natury, których bezkarnie łamać niemożna, miał Zola doskonałe poczucie tego, jakie warunki i czynniki społeczne, jakie stany indywidualne i zbiorowe, jakie wynaturzenia przyrodzone lub narzucone jednostce ludzkiej, przez otoczenie nienormalne,— rozstrajają tę harmonię, jak znieprawiają zmysł życia zdrowego, jak oszpecają jego postać. W szeregu obrazów groźnych i wstrząsających, pokazał on wszelkie zboczenia normalnego zmysłu życia; jak u jednych, pod wpływem przesytu i nadmiaru środków, — przechodzi w niespokojne pragnienie użycia, w wyrafinowanie potrzeb i rozpasanie pożądań; jak u innych znów, skutkiem potrzeb niezaspokojonych i braków dotkliwych, zamienia się w gorączkę żądz, w zniecierpliwienie władz, powstrzymanych w rozwoju, w końcu w ich szały i gwałty. To wszystko Zola umiał przedstawić, nie jako sprawy prywatne, nie jak dramaty jednodniowe, nie jak zjawiska o sensacyi przemijającej, lub jak stany wyjątkowe i rzadkie, lecz jak potworne zmory ludzkości dzisiejszej, towarzyszące jej rozwojowi, jak procesy stałe jej życia, związane i uwarunkowane formami kultury zbiorowej, — jak zapasy bezwzględne sił wrogich i rozkładowych, nurtujących jej wnętrze, jak potępienie wreszcie za chciwy wyzysk życia, za zatrucie jego źródeł czystych — obłudą, egoizmem, niesprawiedliwością...

Ta strona dzieła zmarłego pisarza, nie przestanie sprawiać wrażenia głębokiego, nie przeminie wraz z nim, urągać będzie zamachom czasu, mody i upodobań zmiennych, przetrwa obelgi i nienawiść ludzką, której tyle działalność jego obudziła we wszelkich postaciach, od najordynarniejszych do najszczytniejszych, — iż ona jedna mogłaby zaświadczyć, że w odsłanianiu instynktów człowieka pierwotnego, w pokazywaniu tego, czem jest *la bête humaine*, ów „goryl zmysłowy i okrutny,“ nie zawsze Zola przesadzał, nie zawsze chciał uczynić go gorszym, dzikszym i zapamiętalszym, niż jest w istocie...

*Wł. Jabłonowski.*

# Aleksander Gierymski.

U nas głównie skandal i heca gromadzą tłumy. Nie mogła więc ich zgromadzić zamknięta w tych dniach wystawa pośmiertna dzieł Gierymskiego, poświęcona kultowi czystego piękna i sztuki. Tylko subtelniejsze natury są w stanie pieścić oko temi wnętrzami kościołów, przedziwnie prawdziwych, tą wodą wiślaną, tak żywą, ruchliwą i mokrą, i temi usiłowaniami wytrwałemi do osiągnięcia jak najsilniejszego wrażenia prawdy.

Niech co chcą mówią niektórzy krytycy, ale w tym wypadku grubo się zagalopowali, zaprzeczając Gierymskiemu wrodzonego

poczucia barw i przypuszczając, że to było tragedyą jego życia. Dziś „urodzonym kolorystą“ nazywamy tego, kto rysuje niedołężnie, a cały wysiłek kieruje, dajmy na to, ku sharmonizowaniu kilku plam barwnych w obrazie, a choćby tylko położeniu połysku na końcu nosa. Gdyby obrazy Gierymskiego były tak samo dobrze malowane, jak są, ale miały nieszczęście krzywić się w rysunku, gdyby kolumny się waliły, tafle posadzek tańczyły kankana, wówczas ciż sami krytycy zawołaliby może: cóż z tego, że to się wali, przecież to rzecz elementarnego rysunku, który byle uczeń mógłby poprawić, ale jaki to wszystko ma ton! jaka gra barw, co to za kolorysta subtelny!

Gierymski otrzymywał rezultaty kolorystyczne znakomite, a więc przez to samo był wielkim kolorystą, a że jednocześnie był znakomitym rysownikiem i posiadał niewyczerpany zapas cierpliwości, pozwalający mu z benedyktyńskiem zamiłowaniem przez rok malować i przemalowywać ten sam niewielki obraz, i to pracując codziennie od rana do zmierzchu, więc otrzymywał w rezultacie prace nietylko niezmiernie prawdziwe, ale i tak wykończone w szczegółach, że dorównywały niemal dokładności fotograficznej.

I cóż w tem złego?

Według przypuszczeń niektórych domyślnych krytyków, pierwszą tragedyą życia Gierymskiego miał być brak kwalifikacyj na „urodzonego kolorystę,“ a drugą byłby wynalazek fotografii barwnej, gdyby się go był doczekał.

Jeżeli ci krytycy utożsamiają dzieła Gierymskiego z fotografiami kolorowanemi i nie widzą różnicy między bezmyślnością aparatu mechanicznego, niemogącego zrobić inaczej, a potężnym procesem myślowym, niezmiernie świadomym swych celów, jaki się odbywał w umyśle Gierymskiego, dając jako wynik pracę twórczą, to nie dziwiłbym się, gdyby ci sami krytycy utożsamiali mydła od Pulsa, mające kształt jabłek, z jabłkami prawdziwemi i twierdzili, że tragedyą dla natury była chwila, w której Puls zaczął wyrabiać jabłka z mydła, przewyższające zapachem prawdziwe i mające tę przewagę, że nie gniją i nie bywają robaczywe.

Gierymski był potężną i wyjątkową postacią w naszej sztuce, nie dlatego tylko, że jej szczerze według sił służył, bez pogoni za pieniędzmi, reklamą i sławą, bez ulegania mecenasom i gustom publiczności, ale i dlatego, że *on* właśnie i prawie on tylko schwycił tę naszą biedną sztukę i pchnął ją na właściwe i odpowiednie tory. Gierymski pierwszy powiedział nam za pośrednictwem prac swoich, że, chcąc być malarzem, trzeba *przedewszystkiem* umieć patrzyć na naturę, obserwować ją i wyniki tych obserwacyj wyrażać po malarsku na płótnie. Przed nim malarstwo było pojmowane u nas nietylko przez ogół, ale i przez większość artystów, jako ilustracya opowiadań historycznych lub obyczajowych, ale nie jako sztuka samodzielna, samoistna i mająca treść w sobie samej.

Taki potężny talent, jak Matejko, a nawet inni, jak Brandt, Siemiradzki, Kossak lub Gerson, dawali nam często obrazy wyborne pod względem malarskim, ale ani ogół, ani nawet artyści nie cenili w nich przedewszystkiem tej właśnie strony czysto artystycznej, lecz główną wartość przypisywali tym dziełom raczej za ich stronę historyczną, anegdotyczną, za ich treść literacką, a naśladowcy ich zapożyczali tylko tej „literatury,“ nie mając sił, ani świadomości do osiągnięcia tężyzny malarskiej. Pierwszy Gierymski wypowiedział dobitnie, że malarz *przedewszystkiem* powinien umieć malować, że sztuka ma treść w samej sobie, że nie jest ona narzędziem tylko do popularyzowania cudzych idei lub poglądów.

Zarzucano mu i jego zwolennikom, że dla nich równie pięknem będzie, dajmy na to, Kazanie Skargi“ Matejki, jak „Kury, grzebiące się w śmietniku.“ Otóż, jak zwykle, przekręcano tu tendencyjnie prawdę. Gierymski tylko twierdził, że zarówno kury na śmietniku, jak kazanie, powinny być równie dobrze namalowane, jeśli mają być dziełami sztuki, i że „Kazanie Skargi“ ma wartość artystyczną nie dla kartki z takim tytułem, ale dlatego, że jest dobrze po malarsku pojęte i wykonane. Dopiero od Gierymskiego dowiedzieliśmy się, że nietylko rycerze i rumaki są pięknymi tematami malarskimi, ale że piękną jest cała natura i tylko trzeba umieć na nią patrzyć, żeby to piękno dostrzedz. Gierymski więc ma ogromną zasługę choćby przez to, że rozszerzył znakomicie nasz zakres wrażeń estetycznych.

Kilka walących się domków, kloce mokre, zbite w tratwy i nawet ten prosty, nieestetyczny most żelazny na Wiśle, wszystko było odpowiednim tematem dla Gierymskiego i pod jego pędzlem stawało się pierwszorzędnem dziełem sztuki, wobec którego mnóstwo ołowianych koników i żołnierzy, mnóstwo scen rodzajowych, uznane zostało słusznie za zniepra wiające sztukę naszą, o ile ona ma być uważana za sztukę, a nie za zbiór ilustracyj i obrazków dla grzecznych dzieci.

Historya sztuki naszej będzie wymieniała nazwisko Gierymskiego jako czynnik przełomowy i jako punkt zwrotny. Kto siłą swego talentu był w stanie przewrót taki wywołać, ten jest czemś więcej, niż cichym pracownikiem w winnicy pańskiej lub pierwszym lepszym poczciwiną, wydziubującym obrazki w zakresie, jaki mu siły i zdolności zaznaczyły, ten jest mistrzem potężnym i przytem tem większym, że choć, jak uczony średniowieczny zasklepił się w sobie, żył jak odludek, w nikogo swych zasad nie wmawiał, nie krzyczał, nie perorował, jaką sztuka być powinna, to jednak dzieła jego przemówiły własną siłą wewnętrzną, jeśli nie do ogółu, to do wybranych, i w sztuce naszej dokonały przełomu.

(D. n.).

*Sierp.*

---

## SPRAWY EKONOMICZNE

Z POWODU NOWEJ PRACY

# O PRZEMYŚLE POLSKIM.

II.

Największą, a bodaj jedynie decydującą dźwignią przemysłu Królestwa, był zawsze rynek wewnętrzny. On to podtrzymał przemysł nasz w ciężkim dla niego okresie 1831—60 roku dzięki niemu również przemysł rozwijał się dalej. A wypadki w Królestwie i reformy, dokonane w siódmym dziesiątku lat zeszłego wieku, przyczyniły się pośrednio do znacznego rozwoju tego rynku i zarazem dostarczyły obfitego materyału dla wzmożenia przemysłu. Reforma włościańska przysporzyła krajowi pół miliona przeszło samodzielnych gospodarstw i zmusiła całą klasę obywateli ziemskich do rozpoczęcia gospodarki kapitalistycznej. Znaczna część drobnych właścicieli ziemskich zaczęła tracić niebawem swe działki i przechodzić w szeregi bezrolnych, emigrując gromadnie do miast i powiększając tam liczbę klasycznego zachodnio-europejskiego proletaryatu. Reforma finansowa — zniesienie odrębnego budżetu Królestwa — prowadzi za sobą powiększenie podatków i poborów rządowych. Królestwo, dające skarbowi w 1860 r. 20,530,558 rb., w roku 1871 musi rocznie płacić 47,444,729 rb. Zjawia się ogólna potrzeba pieniędzy, których zdobycie staje się często jedynym, a prawie zawsze jednym z głównych — celem gospodarstwa. Na rynku wewnętrznym popyt wzrasta coraz więcej, przemysł krajowy nie może zaspokoić jego potrzeb, okazuje się konieczność przywozu z zagranicy, zarówno gotowych wyrobów, jak i materyałów surowych dla potrzeb przemysłu krajowego. To też przywóz z zagranicy w tym czasie wzrasta olbrzymio. Oto cyfry:

W 1864 r. przywieziono do Królestwa różnych towarów, w stanie surowym i przerobionych, za 18,507,642 rb.; w 1868 za 39,952,356 rb. Wartość zaś rocznej produkcyi Królestwa wynosiła w roku 1864 50,034,100 rb. w 1873 r. 84,715,767 rb. Cyfry te są stanowczo zbyt małe. W. Załęski, wyliczając ogólną produkcyę za rok 1873, robi stale w liczbach urzędowych poprawkę, dodając do nich 25%, i otrzymuje wtedy sumę 105,895,000 rb., którą stanowczo można uważać za nieprzesadzoną.

Przyjąwszy za główną podstawę przemysłu Królestwa warunki miejscowe, trzeba zapatrywać się krytycznie na wpływ czynników zewnętrznych. Tak np. alfą i omegą przyczyn świetnego stanu i warunkiem koniecznym istnienia przemysłu naszego, mają być dwa przyjęte dogmatycznie czynniki: polityka celna Rosyi i zbyt towarów Królestwa na t. zw. rynkach wschodnich. Bliższe przyjrzenie się danym statystycznym i krytyczniejsza ich ocena zmienią trochę pogląd na tę sprawę.

Polityka celna Rosyi, rozpoczęta w 1877 r. wybitnie protekcyjna a nawet — względem niektórych wyrobów — prohibicyjna, ogłoszoną została za niezmiernie ważny czynnik dodatni w dziejach przemysłu Królestwa, za jedną z najważniejszych jego dźwigni, dzięki której, w bardzo krótkim czasie produkcya według obliczeń p. Luksemburg wzrosła u nas o 160%.

Nie odmawiając oczywiście cłom wysokim pewnego wpływu dodatniego, po bliższem rozpatrzeniu się w cyfrach i warunkach życia, znajdziemy jednak w polityce protekcyjnej i strony ujemne dla przemysłu Królestwa, nadewszystko — niezależnie od niej — szereg innych poważniejszych przyczyn, które w tym czasie wpłynęły dodatnio na jego rozwój.

Przemysł np. węglowy, który wzrósł olbrzymio mniej więcej w okresie zaprowadzania wysokich ceł, nietyle im zawdzięcza swój wzrost, ile uporządkowaniu nakrótko przedtem produkcyi węglowej i oddaniu jej ostatecznie w ręce prywatne. Ożywiony ruch w tej gałęzi przemysłu, staje się widocznym około 1876 r., gdy właśnie rozpoczynają działalność olbrzymie przedsiebiorstwa prywatne: Tow. akc. Francusko-włoskie, Warsz. Górnicze, Landerbank, oraz całe mnóstwo pomniejszych. Uporządkowana produkcya wzrasta szybko dochodząc w 1876 r. do 416 tys. tonn, w roku następnym wynosi 610 tys. tonn, w 1878 ożywienie w przemyśle żelaznym, przez zamówienia rządowe z powodu wojny tureckiej, doprowadzają ilość produkcyi węgla do 910 tys. tonn, poczem widzimy spadek. Te 3 lata ożywienia powodują wzrost produkcyi węglowej o 242% w pięcioleciu 1876—81, w następnem jednak pięcioleciu wzrost ten spada do 40%, a pomiędzy 1886 i 1891 rokiem — nawiasem mówiąc w okresie najwyższych ceł — do 32%, wynosząc 7,8 mil. pudów rocznie.

W ten sposób można znaleźć w każdej gałęzi przemysłu dowody przesadnego podnoszenia doniosłości wysokich ceł państwowych dla przemysłu Królestwa: wytwórczość w przemyśle np. bawełnianym w okresie lat 1863—75 wzrosła o 232%, w okresie zaś 1875—89 — w dobie wzmocnionych ceł protekcyjnych — o 37%.

W pierwszym okresie przybywało rocznie po 22,441 wrzecion, w drugim po 10,245. Przemysł żelazny wzrasta niebywale wskutek zamawiań rządowych, przywóz zaś wyrobów jego z zagranicy nigdy nie był znaczny i cła nie odegrały żadnej niemal roli.

Dokładną ilustracyę wpływu ceł protekcyjnych na rozwój przemysłu stanowi tabliczka ogólnej wartości produkcyi Królestwa, wynoszącej w 1857 r. 21,278,592 rb., w 1870 r. 63,943,070 rb., wzrost w ciągu lat 13 — 201%, roczny 15,5%, w 1885 r. — 185,821,200 rb., wzrost w ciągu lat 15 — 191%, roczny 13%, w 1896 r. — 294,000,000 rb., w ciągu lat 11 — 58%, roczny 5,3%. Ostatni zaś okres — to epoka największego rozkwitu ceł protekcyjnych.

Po za tem polityka celna przyniosła nawet przemysłowi Królestwa dość znaczne szkody: wywołała ona przedewszystkiem wzrost cen, nieliczenie się producentów z rynkiem wewnętrznym, jak widzieliśmy — główną dźwignię przemysłu w Królestwie, i, co za tem idzie, osłabienie tegoż rynku, pogoń producentów za łatwymi zyskami chwilowymi, w rodzaju zamówień rządowych i stosowanie do nich swej działalności, co znowu osłabiło odporność przesiebiorstw przeciwko kryzysom z ich strasznymi skutkami dla ogółu, a przedewszystkiem dla klas pracujących.

Dalej, cła protekcyjne utrudniając, a poniekąd nawet uniemożliwiając dowóz do Królestwa niektórych surowców i materyałów, w części osłabiły lub wyrugowały z kraju, a w części nawet zabiły zupełnie pewne gałęzie przemysłu. Tak np. po wysokiem ocleniu stearyny zagranicznej, upadły wszystkie fabryki świec w Królestwie, używającem obecnie świec wyłącznie rosyjskich. Po odcięciu węgla i koksu śląskiego, osłabł wyrób maszyn rolniczych, a nawet niektóre, jak np. żniwiarki, przestano wyrabiać zupełnie, gdy w Cesarstwie fabrykacya ich z 404 w 1879 r. wzrosła do 27 tys. w 1894. Zaznaczyć należy także masową emigracyę kapitałów i sił w przemyśle mechanicznym i żelaznym z Królestwa do Rosyi południowej, bliżej zagłębia Donieckiego, i stworzenie tam w krótkim czasie olbrzymiego przemysłu. Wogóle przemysł mechaniczny Królestwa, wstrząśnięty wysokiemi cłami na węgiel, koks i surowiec, dopiero na krótko przed obecnym kryzysem zaczął przychodzić do siebie.

„Rynki wschodnie“ to ziemia obiecana zwolenników pracy organicznej, owiana urokiem legend, ta podstawa programów politycznych tak mało nawzajem podobnych do siebie umysłów, jak A. Wrotnowski, autor „Aspiracyj“ i Róża Luxemburg musza również stracić niemało po ich krytycznej ocenie. Widzieliśmy politykę celną, która ustała dopiero w chwili, gdy w Cesarstwie wyrósł przemysł kilkakrotnie większy od naszego, gdy przywóz z Cesarstwa przewyższał parokrotnie wywóz z Królestwa do gubernij wewnętrznych państwa, i w chwili, gdy Królestwo znajdowało się w upadku czasowym, dochodzącym do zmniejszania się absolutnego nawet liczby ludności, która w ciągu lat dziesięciu, od 1847 do 1858 roku spadła o 100,000. Dziś również Cesarstwo ma przemysł, większy, niż Królestwo, chociaż, jak dotąd, tylko większy bezwzględnie, o rynki swoje może być spokojne; zresztą w razach wyjątkowych dopomagają taryfy różniczkowe. A przytem Królestwo, po jakiem takiem obsłużeniu własnego rynku wewnętrznego ma znów nie tak wiele do zbycia. Praca zaś wielu fabryk, skierowana wyłącznie niemal do zaspakajania potrzeb Cesarstwa, zarówno jak wywóz do niego, jest jedynie skutkiem wzrastającej wciąż specyalizacyi przemysłu w rozmaitych prowincyach państwa. Królestwo wysyła do Cesarstwa wełnę, sukno i wyroby gotowe, a otrzymuje stamtąd jedwab, płótno, mydło, świece, naftę, kauczuk, surowiec, węgiel, rudę i wiele innych wyrobów i materyałów surowych.

Wogóle, jak wykazuje przekonywająco p. Illinicz, przemysł Królestwa należy uważać za czysto rodzimy, oparty na warunkach miejscowych, i czas już porzucić resztę przesądów, przypisujących nam wyłącznie zdolności rolnicze, a handlowe i przemysłowe „obcym.“ Napływający obficie Francuzi, Niemcy, Belgowie — nie byli bynajmniej misyonarzami, niosącymi dzikim sarmatom „kaganiec oświaty“ i wyświadczającymi im dobrodziejstwa. Byli to poprostu ludzie, obliczający z kredką w ręku zyski i znajdujący niewątpliwie w społeczeństwie naszem odpowiednie warunki i grunt już w znacznym stopniu poruszony, który tylko ulepszyć należało. Przybywali, działali, zdobywszy zamiast śmierci męczeńskiej — miliony, pozostawali w znacznej części w kraju, wsiąkając powoli w żywioł miejscowy.

Czas już, ażeby znalazł się historyk przemysłu, wolny od powziętych z góry uprzedzeń i uroszczeń, a nadewszystko *historyk*, nie publicysta. Powinienby on rozpatrzyć dzieje przemysłu naszego łącznie z dziejami rozwoju stosunków społecznych i warunków ekonomicznych kraju.

*J. Dąbrowski.*

# KRONIKA.

**Wiadomości społeczne.** *Warsz. Dniew.* donosi: „Stosownie do obowiązującego prawa, osoby pochodzenia polskiego, które otrzymały wykształcenie domowe, mogą być przyjmowane na służbę państwową w Królestwie Polskiem tylko za zezwoleniem generał-gubernatora, zaliczane zaś na służbę dopiero po przedstawieniu świadectwa o złożeniu egzaminu odpowiedniego w zakładzie naukowym. W praktyce jednak bywają przypadki, iż urzędnicy ci, otrzymawszy pozwolenie wstąpienia na służbę, zajmują ją, a świadectwa ze złożonego egzaminu składają dopiero w kilka lat, nie bacząc, iż służba rzeczywista ze wszystkiemi prawami i przywilejami liczy się im dopiero od złożenia świadectwa z odbycia egzaminu. Obecnie ministeryum spraw wewnętrznych wyjaśniło, że według brzmienia prawa, rzeczywista służba osób kategoryi pomienionej liczy się dopiero od chwili zaliczenia ich do jednej z trzech kategoryj według wykształcenia, co nie może nastąpić przed złożeniem świadectwa z odbytego egzaminu, i dlatego służba w instytucyach jedynie na podstawie otrzymanego pozwolenia, nie liczy się za służbę państwową.

— Gimnazyum polskie w Cieszynie ma być upaństwowione z początkiem przyszłego roku szkolnego.

— Stowarzyszenie pomocy naukowej dla Polek, im. J. I. Kraszewskiego, w Krakowie, na ogólnem zebraniu członków uchwaliło zamianować Maryę Konopnicką członkiem honorowym, a zarazem utworzyć stypendyum jej imienia dla kształcących się w uniwersytetach.

— W Tow. popierania przemysłu i handlu utworzono komisyę, która się ma zająć sprawą obowiązkowego ubezpieczenia robotników na starość.

— Senat rządzący zawiadamia, iż żonom żydów służy prawo towarzyszenia mężom, zesłanym na Syberyę na mocy wyroków sądowych.

— Na odbytym w d. 19 b. m. we Lwowie wiecu studentów syonistycznych wybrano stałą delegacyę, która mieć będzie za zadanie „wywalczenie należnego uznania narodowości żydowskiej w kołach młodzieży uniwersyteckiej, politechnicznej i gimnazyalnej.“

— Na posiedzeniu sejmu węgierskiego prezes ministrów Szell, interpelowany w sprawie Morskiego Oka, odpowiedział, że wyrok opiera się na ustawie i pozostaje nienaruszonym.

**Szkoły i wychowanie.** Ministeryum oświaty pozwoliło zarządowi warszawskiej gminy żydowskiej na otworzenie przy pięciu utrzymywanych przez nią szkołach początkowych — bezpłatnych, ogólnokształcących, sobotnich kursów wieczornych dla rzemieślników żydowskich do lat 16, według programu szkół niedzielno-rzemieślniczych.

— W salach rysunkowych przy Muzeum rzemiosł wprowadzono nowy kurs dla pragnących wyćwiczyć się w rysunkach w zakresie ślusarstwa, kamieniarstwa, snycerstwa, sztukatorstwa, blacharstwa, malarstwa pokojowego, stolarstwa i litografii. Oprócz rysunku odbywać się będą wykłady o wyrobach stylowych różnych czasów. Lekcye odbywać się będą w poniedziałki, środy i piątki od godziny 7 do 9 wieczorem. Zapisy przyjmuje kancelarya Muzeum codziennie w południe i wieczorem.

— Dn. 11 b. m. otworzony został uroczyście nowy rok szkolny we wszechnicy krakowskiej. Uniwersytet ten posiada 80 profesorów, 32 docentów i 3 lektorów. Zapisałosię 1,347 słuchaczów.

— *Prawit. Wiest.* odwołał pierwotną swą wiadomość o wprowadzeniu nowego programu w szkołach średnich dopiero od roku przyszłego.

— W Moskwie otworzono studenckie Towarzystwo historyczno-filologiczne, którego zadaniem będzie zjednoczenie studentów z profesorami w sprawach naukowych.

— W niektórych warszawskich gimnazyach męzkich wprowadzono w godzinach wieczorowych naukę rzemiosł. W r. b. wykładane będzie stolarstwo. Za naukę tę pobierana będzie osobna dopłata.

— W zeszłym tygodniu w politechnice warszawskiej w obecności członka Rady państwa, odbyła się obrona rozpraw dyplomowych przez słuchaczów, którzy ukończyli kurs nauk w instytucie. Z pośród 19 studentów 14 otrzymało dyplomy inżeniera-technologa I stopnia, jeden — II stopnia, oraz trzech — dyplomy inżenierów-budowniczych I stopnia.

**Wiadomości naukowe.** Ogłoszony przez wydział prawny uniwersytetu charkowskiego konkurs na wakującą katedrę prawa handlowego, tudzież przez uniwersytet noworosyjski — na katedry prawa rzymskiego i historyi prawa rosyjskiego — uznane zostały za niebyłe z powodu braku współubiegających się; dotychczas bowiem nikt kandydatury na powyższe katedry nie nadesłał.

— Milioner nowojorski, Ziegler, oświadczył się z gotowością dostarczenia środków materyalnych na nową wyprawę podbiegunową, Peary'emu, który utrzymuje, że dotarcie do bieguna północnego jest tylko kwestyą pieniężną.

**Z Poznańskiego.** Poznańska izba karna skazała na rok i trzy miesiące więzienia odpowiedzialnego redaktora *Pracy*, p. Jana Kwiatkowskiego, za artykuł pomieszczony w przeddzień przyjazdu cesarza Wilhelma do Poznania. Prokuratorya dopatrzyła się w nim podburzania do gwałtów. Numery *Pracy* skonfiskowano zaraz, a p. Kwiatkowskiego uwięziono.

— Na zebraniu delegatów Towarzystw handlowych i przemysłowych uchwalono urządzić w Poznaniu w roku przyszłym wystawę przemysłowo rolniczą, wyłącznie polską.

— Naczelnym prezydentem Prus Zachodnich mianowany został Delbrück, dotychczasowy burmistrz gdański.

— W Niemczech Zachodnich nakazano zaopatrzyć w polskie śpiewniki katolickie te oddziały armii, w której służą żołnierze pochodzenia polskiego.

**Hakata.** Wielcy przemysłowcy w prowincyi hesko-nassauskiej postanowili wydalić z fabryk wszystkich robotników polskich i wogóle słowiańskich.

**Ze sztuki.** W Towarzystwie Zachęty otworzono osobną wystawę dzieł artysty-malarza Edwarda Okunia.

— Na konkursie rzeźb dla nowego dworca kolejowego we Lwowie zwyciężył p. Antoni Popiel.

— Międzynarodowa wystawa artystyczna odbędzie się w Wenecyi. Otwarta zostanie w kwietniu roku przyszłego.

— Dn. 18 b. m. otworzono w Krakowie wystawę malarstwa i rzeźby artystów polskich p. n. „Okrężne.“

— W Helsingforsie odsłonięty został pomnik Lenrotha, zbieracza fińskich podań ludowych.

**Zdrowie publiczne.** W celu przejrzenia i uzupełnienia obowiązującej dziś przestarzałej ustawy lekarskiej, utworzona będzie w roku przyszłym komisya pod przewodnictwem dyrektora departamentu lekarskiego.

**Sprawy ekonomiczne.** Według ostatnich danych statystycznych, w Królestwie Polskiem istnieje obecnie 44 Towarzystwa spożywcze: 13 w gub. Piotrkowskiej, 10 w Warszawskiej, 6 w Kieleckiej, 5 w Radomsk

po 2 w Kaliskiej, Lubelskiej, Płockiej i Siedleckiej, po 1 w Suwalskiej i Łomżyńskiej.

— W roku zeszłym wywieziono z Rosyi 73,238 koni, o 14,293 sztuk więcej, niż w roku poprzednim.

— W Petersburgu powstaje akcyjne Towarzystwo transportowe, w celu przewozu towarów zagranicy na Syberyę.

**Koleje i komunikacye.** W Montrealu (Kanada) robiono próby porozumiewania się za pomocą telegrafu bez drutu z pociągiem, biegnącym 60 mil ang. na godzinę. Wynik doświadczenia był zupełnie dobry.

**Katastrofy.** D. 20 b. m. na drodze Warszawsko-Petersburskiej, skutkiem rozkręcenia szyn rozbił się pociąg osobowy. Kilka osób poniosło śmierć lub silne obrażenia.

— Na moście, łączącym Stambuł z przedmieściem Galatą, tłum ludzi, przyglądając się tonącemu chłopcu, złamał poręcz, skutkiem czego kilkadziesiąt osób wpadło do wody. Część z nich zdołano uratować, reszta utonęła lub doznała silnych obrażeń.

**Zmarli.** Piotr Paweł Pawlicki, redaktor *Przyjaciela zwierząt*, urzędnik kolei Wiedeńskiej.

— Władysława z Rogozińskich Izdebska, autorka wielu powieści i utworów dramatycznych dla dzieci i młodzieży, oraz paru rozpraw pedagogicznych. Niektóre jej powieści jak „Naszyjnik babuni,“ „Praca bogactwem,“ „Dzienniczek Elżuni“ i inne cieszyły się w swoim czasie powodzeniem. Zmarła w sędziwym wieku autorka zasilała swemi pracami wszystkie nasze wydawnictwa dla młodzieży, napisała również dramat historyczny p. t. „Nałęcze i Grzymalici,“ wyróżniony na jednym z konkursów.

## Odpowiedzi Redakcyi.

*Nieuduchowionemu.* „*Filister*“ jest to wyrażenie wprowadzone przez młodzież uniwersytecką w Niemczech dla oznaczenia ludzi z ciasnym widnokręgiem uczuć i myśli, drobiazgowych, prozaicznych, niezdolnych do gorętszych uniesień, do silnego przejęcia się szerszą ideą poetycką, artystyczną lub społeczną. Obecnie korporacye studenckie nazywają również filistrami wszystkich swych dawnych członków, którzy już pokończyli zakłady naukowe, lecz ze stowarzyszeniami swemi utrzymują pewną łączność. W tem znaczeniu wyraz „filister“ nie zawiera odcienia pogardliwego. Co do drugiego pytania, to najwięcej pożądanego materyału znajdzie Pan w takich dziełach francuskich, jak *Génie dans l'art* Séailles'a, *Imagination créatrice* Ribot'a, *Psychologie de l'invention* Paulhan'a. W języku polskim wskazać możemy „Psychologię uczuć“ Ribot'a, „Zagadnienia estetyki współczesnej“ M. Guyau, „Filozofię sztuki“ Taine'a, „Estetykę“ Lemcke'go, Verona, gdzie obok wielu innych znajdzie Pan wskazówki co do psychologii twórców. Pewne strony zajmującego Pana pytania poruszone zostały również w rozprawie A. Świętochowskiego p. t. „Poeta, jako człowiek pierwotny.“

*Tłomaczce.* Rękopis do zwrotu.

*Pani P.* Z artykuliku nadesłanego za pośrednictwem redakcyi *Zorzy* nie skorzystamy.

*Tłomaczowi z Archangielska.* Propozycyi pańskiej przyjąć nie możemy.

*Pani J. Sz.* Tytuł broszurki: „O zaginionych dokumentach w XI wieku.“

*Panu M. K. z Nowego Świat*, nr. 57, m. 6. Prosimy o przybycie do redakcyi.

*Panu W. Zajewskiemu.* Nie możemy dać zadawalającego określenia charakteru instytucyi. Chęci są napewno dobre, lecz wątpimy, czy cel praktyczny zostanie osiągnięty.

*Panią Zofię dr. Dobkiewiczową z Kijowa* prosimy o nadesłanie redakcyi swego dokładnego adresu dla porozumienia się w ważnej sprawie.




Redaktor i Wydawca A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 11 Октября 1902 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.